W numerze: Autoportret nauczyciela • Mrożona nieśmiertelność • Sygnały • Z redaktorskich wspomnień • Dwieście lat później • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

TYGODNIK ROK VIII

Nr 46 (356)
21. XI. 1965
10 stron
Cena 1 zł

LESZEK ST. RUDNICKI

ODWIEDZINY W Wieży Babel

1.

Jeden z najsłynniejszych mitów biblijnych opowiada o budowie wieży przez lud zamieszkały w kraju Szinear. Olbrzymia ta budowla rozpadła się jednak w pył na skutek pomieszania języków budowniczych. Archeologowie utożsamiają ją z olbrzymim, przeszło 90-metrowym zikkuratem (piramidalną świątynią) w Babilonie. Nie trzeba jednak być archeologiem, ani prowadzić żmudnych badań. Wystarczy po prostu wsiąść w pierwszy lepszy tramwaj jadący w kierunku Radiostacji, by przy ulicy Kopcińskiego ujrzeć wysoką, dziesięciopiętrową wieżę. Gmach ten, to VI DS UŁ i Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców — łódzka Wieża Babel.

Jak przypuszczałem, okazało się niepodobieństwem samodzielne rozeznanie się w gmatwaninie ludzi, języków, pokoi, korytarzy i spraw. Wzorem Dantego, musiałem poszukać przewodnika. Znalazł się dość łatwo — w Komisji Zagranicznej RO ZSP — Maciek Krukowski. Student V roku etnografii, od trzech już lat opiekuje się grupami studentów z Ameryki Łacińskiej. Dzięki tej praktyce jest doskonale zorientowany w ich potrzebach, wie co ich interesuje, w czym potrzebna jest pomoc. Jako wytrawny cicerone urządził mi najpierw mały wykład.

Tak więc: w Wieży mieszka 240 studentów reprezentujących 40 narodowości. Stosunkowo najliczniej reprezentowana jest Syria. Przez rok pobytu w Łodzi mają na tyle opanować język, by potem móc swobodnie słuchać wykładów i brać udział w zajęciach na wybranych przez siebie uczel-

Dalszy ciąg na str. 5

SPRAWY NAUCZYCIELI

Rozmowa z prezesem łódzkiego Zarządu Okręgu ZNP — mgr Janem Pasieką

ODGŁOSY: Jakie tradycje Związku uważa Pan za najcenniejsze? Jaki jest zakres działalności Związku w chwili obecnej?

MGR JAN PASIEKA: ZNP od momentu powstania pierwszych organizacji związkowych w 1905 roku, stawiał sobie zadania walki o pełną, bezpłatną szkołę powszechną, o szkołę świecką. Postulaty ZNP zostały sprecyzowane na tzw. Sejmie Nauczycielskim w 1919 roku, który podjął uchwały o powszechnej i obowiązkowej 7-letniej szkole podstawowej i 5-letnim gimnazjum. Sejm Nauczycielski stanowił przejaw postępowych dążeń nauczycielskich.

Wizja szkoły świeckiej była myślą przewodnią obrad pierwszego powojennego zjazdu oświatowego w Łodzi w początkach 1945 roku. Związek nasz był inicjatorem ośmioletniej szkoły podstawowej. Trudne jednak warunki, w jakich znajdował się zniszczony wojną kraj, sprawiły, iż urzeczywistnienie tej inicjatywy musiało zostać przesunięte o ponad 20 lat.

W latach powojennych Związek reaktywował szereg form pracy stosowanych przed wojną. Utworzony został Instytut Nauczycielski oraz Wyższe Kursy Nauczycielskie, które piękną kartą zapisały się w historii polskiej oświaty. Przywrócono do życia ogniska i konferencje rejonowe stanowiące ważne ogniwo przygotowania nauczyciela, zwłaszcza młodego, do pracy w szkole.

Po 1948 roku uległy likwidacji konferencje rejonowe i ogniska. Życie nauczycielskie uległo sformalizowaniu. Nikły inicjatywy pedagogiczne, biurokratyzował się system pracy oświatowej. Po 1956 roku konferencje nauczycielskie zostały ponownie reaktywowane i dzisiaj cieszą się dużym uznaniem społeczności oświatowców-pedagogów. Ważnym wydarzeniem w działalności ZNP był ogólnopolski zjazd oświatowy w Warszawie (2—5.V.1957). Zasadniczym osiągnięciem tego sejmiku nauczycielskiego było obudzenie ogromnego zainteresowania reformą ustroju szkolnego.

ZNP prowadził pracę kulturalno-oświatową wśród nauczycieli i w środowiskach społecznych. Te chlubne tradycje kontynuuje m. in. Klub Nauczycielski. Przy Klubie Zarządu Okręgu ZNP istnieje jeden z nielicznych w Polsce 60-osobowy chór nauczycielski znany nie tylko w kraju ale i za granicą. Zespół ten odnosił znaczne sukcesy w Czechosłowacji, NRD, a ostatnio bawił na Węgrzech.

Dużo energii Związek wkłada w poprawę warunków socjalno-bytowych nauczycieli. Stałą troską naszą jest wypoczynek wakacyjny nauczycieli. Pragniemy rozbudować własne związkowe ośrodki wypoczynkowe. Nauczyciele łódzcy znajdują się tu, ze względu na mikroklimat Łodzi, w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Planujemy przedsięwziąć dalsze kroki celem zorganizowania wypoczynku sobotnio-niedzielnego. Przedmiotem naszego zainteresowania jest również rozwój turystyki krajowej i zagranicznej. Co się tyczy tej ostatniej możemy odnotować poważny sukces. Pod względem ilości wojaży zagranicznych nauczyciele łódzcy znajdują się na trzecim miejscu w kraju.

ODGŁOSY: W rozmowach z pedagogami starszego pokolenia zdarza się czasami spotkać pogląd, że życie społeczne nauczycieli było dawniej intensywniejsze, ciekawsze. Czy podziela Pan tę opinię?

MGR JAN PASIEKA: Życie społeczne współczesnego nauczyciela jest po prostu inne. Zmieniły się styl, formy i kierunki aktywności społecznej. Wzmogła się działalność ideowo-wychowawcza nauczyciela z młodzieżą.

Jeśli jednak przyjrzymy się bliżej działalności społecznej nauczycieli na terenie samej szkoły, nietrudno zauważyć, że udział zespołów nauczycielskich w wielu żywotnych sprawach, takich jak problemy organizacji, programów nauczania, podręczników, posiada charakter nieco formalny i z zasady ograniczony do ram inspirowanych dyskusji, i z góry zamierzonych spotkań.

Wydaje się, że kiedyś ta forma aktywności nauczycielskiej była o wiele bardziej bezpośrednia i szersza.

ODGŁOSY: Czym to należy tłumaczyć?

MGR JAN PASIEKA: W pierwszych latach powojennych mieliśmy kadrę nauczycieli o bogatym doświadczeniu pedagogicznym, która i dzisiaj jeszcze promieniuje, kadrę ściśle związaną z życiem szkoły, której szkoła wypełniała całe jej życie.

Dalszy ciąg na str. 3

ZE ŚWIATA

A jednak stało się: rasistowski rząd płd. Rodezji ogłosił utworzenie rasistowskiego państwa. Jest to wydarzenie bez precedensu, rzucające wyzwanie całemu światu. W dobie dekolonizacji, uwalniania się narodów od zależności — proklamuje się państwo dla białych ekstremistów, którzy stanowią zaledwie 5 proc. ludności kraju. Piramida przywilejów białych ma być przypieczętowana formalną niepodległością kraju.

Fala potępienia przeszła przez wszystkie niemal stolice świata. Szczególne wzburzenie panuje w krajach afrykańskich. Tu i tam mówi się o możliwości zbrojnej interwencji.

Kraje Afryki wykazały w ONZ zdumiewającą jedność i stanowczość działania. Natychmiast po dotarciu do niesień o proklamowaniu — Algieria wystąpiła z ostrą rezolucją, domagającą się „położenia kresu rebelii". 107 głosami otrzymała ona poparcie komitetu do spraw terytoriów powierniczych i kolonialnych, a następnie tą samą ilością głosów — Zgromadzenia Ogólnego.

W dzień później Rada Bezpieczeństwa uznała reżim za nielegalny.

Adresat tych decyzji jest podwójny: i Rodezja, i W. Brytania. Ta ostatnia ponosi bowiem bezpośrednią odpowiedzialność za to, co się stało. Ślamazarność, z jaką działano, zachęciła Smitha do jednostronnej proklamacji. Można nawet podejrzewać, że wszystko razem było ze strony Brytyjczyków cynicznym manewrem, mającym na celu ugruntowanie swej władzy ekonomicznej w Rodezji.

Następstwa? Mogą być rozliczne. „Daily Telegraph" pisze: „rozpoczęło się coś, czego końca nikt nie jest w stanie przewidzieć...".

Zerwano mosty z Czarną Afryką, wymierzono silny policzek W. Brytanii, dyskryminację rasową podniesiono do rangi zasady. Wszystko to może spowodować następstwa zewnętrzne. A wewnętrzne?

Pisałem już w jednym z poprzednich komentarzy o możliwości powstania rządu emigracyjnego i rozpalenia walk wyzwoleńczych. Według ostatnich doniesień — rząd taki już powstał.

Rodezję możemy zatem wpisać na wydłużającą się ciągle listę ośrodków zainteresowania opinii światowej.

Niezmiennie pozostają na niej: Wietnam, gdzie Stany Zjednoczone stale zaostrzają charakter wojny, dążąc najprawdopodobniej do zaangażowania w niej 200 tys. swoich żołnierzy. Indonezja, gdzie nieustannie — mimo przestróg Sukarno — armia prowadzi kampanię przeciwko komunistom, a wiernie sekunduje jej skrajna prawica oraz Kaszmir...

Ze zrozumiałych względów obiektem stałego zainteresowania są również Niemcy zachodnie. Poświęćmy więc trochę uwagi takiemu „wydarzeniu", jak rządowe exposé Erharda.

Jak było do przewidzenia, nowe wytyczne w polityce międzynarodowej nie różnią się niczym od poprzednich. W 40 minutach, które poświęcił Erhard problematyce zagranicznej (a więc trzecią część całego wystąpienia) było — zdaniem prasy zachodnioniemieckiej — „wiele bezbarwności i braku fantazji".

Bezbarwności? Aż wierzyć się nie chce, że można w ten sposób określić stanowcze domaganie się przez kanclerza dostępu NRF do broni nuklearnej.

A kanclerz powiedział ni mniej ni więcej tylko, że Niemcom zachodnim wyrządza się dziejową krzywdę. Jakże to bowiem w 20 lat po zakończeniu wojny, kiedy to wyrosło nowe pokolenie Niemców, nic a nic nie mających wspólnego z przeszłością, kiedy to „ciężar" minionego czasu dawno już powinien być zdjęty z barków — można traktować NRF jako państwo drugiej kategorii. Nie czujemy się — ubolewał Erhard — jak równi wśród równych, jesteśmy dyskryminowani...

Wymowa exposé Erharda jest więc taka: pora skończyć z uprzedzeniami, czas najwyższy wyposażyć nas w broń nuklearną.

Nietrudno oczywiście zauważyć, że Bonn walczy nie przeciwko dyskryminacji jako że gros krajów bronią taką nie dysponuje, ale o szczególne uprzywilejowanie. Jak byłoby ono niebezpieczne dla świata — oczywiście nie trzeba nikogo przekonywać.

Przecież to nie kto inny tylko właśnie państwo bońskie dąży do zburzenia powojennego status quo w Europie, przecież to nie kto inny, ale właśnie NRF — jako jedyny kraj — rewizję granic wyniosło do rangi głównej zasady swej polityki.

Fakt, że Erhard tak dużo uwagi poświęcił broni atomowej można uznać za przygrywkę do jego waszyngtońskiej wizyty, gdzie z Johnsonem zamierza przedyskutować udział NRF w wielostronnych siłach nuklearnych.

Z exposé Erharda warto może jeszcze zwrócić uwagę na ten fragment, w którym mówi on o swym przywiązaniu do „ideału wielkiej Europy".

Nie zaniedbał i tej okazji, by koncepcji europejskiej konfederacji de Gaulle'a przeciwstawić Europę zintegrowaną, mocno ekonomicznie i militarnie złączoną ze Stanami Zjednoczonymi.

— Passus ten — podkreślają komentatorzy zagraniczni — przyjęty został w Paryżu jako wyraz opozycji wobec koncepcji politycznych de Gaulle'a.

A zatem sumując: NOWY rząd boński, występujący w STARYM (poza nielicznymi wyjątkami) składzie zapowiada STARĄ politykę. Inaczej mówiąc: w Bonn nihil novi.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Czechosłowacki miesięcznik „Nova mysl" publikuje wyniki ankiety, jaką pracownicy katedry marksizmu-leninizmu Wyższej Szkoły Technicznej w Libercu przeprowadzili wśród 578 słuchaczy II i V roku studiów. Na jedno z pytań: Jakiej pracy chciałbyś się poświęcić przede wszystkim, będąc inżynierem? — 8 proc. odpowiedziało, iż zamierza wyłącznie pracować zawodowo, 4 proc. pragnęłoby poza pracą w fabryce sprawować jakąś funkcję społeczną. 70 proc. zapytanych stwierdziło, iż poza pracą zawodową pragnie poświęcić swe życie osobistym zainteresowaniom. Fakt, że tylko 4 proc. studentów wyraża chęć zajmowania się obok pracy zawodowej pracą społeczną świadczy — zdaniem pisma — o tym, iż przeważająca większość młodzieży uważa pracę społeczną za niepopularną, formalną i nie mającą żadnego wpływu na usuwanie niedociągnięć z życia społecznego.

> *Wielu ludzi, mając lat dwanaście, jest genialnych. Sztuka polega na tym, aby geniuszami pozostali.*
>
> Pablo Picasso

— To już klasyka, ale pasuje do Wietnamu.

■ W biurach londyńskiego hotelu „Savoy" Charlie Chaplin odbył ostatnio konferencję prasową, podczas której obwieścił, iż kręci swój nowy film, pierwszy od dziewięciu lat. „Jestem sługą muz — powiedział mistrz — i kiedy one mówią: zabierz się do pracy próżniaku, zaczynam pracować". Nowy film pt. „Contess z Hongkongu", będzie romantyczną komedią, w której główne role kreują — Zofia Loren i Marlon Brando. Pani Loren czuje się pod okiem mistrza straszliwie stremowana „wprost jak pensjonarka w pierwszym dniu pobytu w szkole".

■ Znany ekonomista francuski Rene Sedillot ostrzega w artykule zamieszczonym w „La vie Francaise" przed niebezpieczeństwem, jakim jest dla Europy wzrastająca stale przewaga gospodarcza Stanów Zjednoczonych. Czy za pięć, albo 20 lat — zapytuje francuski ekonomista, przemysł europejski będzie jeszcze istniał? Czy świat nie zostanie zamerykanizowany? Jednym z istotnych czynników decydujących o przewadze amerykańskiej gospodarki jest, zdaniem Rene Sedillot fakt, iż budżety przeznaczane na badania naukowe sięgają w USA takich sum, że gospodarka europejska jest nieuchronnie dystansowana, a dysproporcje te będą się pogłębiały.

■ Pewnego dnia 52-letni wieśniak południowowietnamski przywieziony został do wojskowego szpitala amerykańskiego w Sajgonie. Lekarz rzucił okiem na chorego, zadrżał i ukrył go poza barykadą worków z piaskiem. W plecach delikwenta tkwił granat, który mógł w każdej chwili eksplodować. Przez cały tydzień nieszczęśnik leżał unieruchomiony, ponieważ chirurdzy nie wiedzieli co z nim począć. Wreszcie zdecydowano się na operację. Spoza ściany z workami z piaskiem i opancerzonej warstwy szkła, przy pomocy długich rąk stalowych rozcięto skórę operowanemu, i stalowa dłoń wydobyła z rany granat. Wykonanie dalszej czynności powierzono saperowi, który po zabezpieczeniu granatu usunął go z terenu szpitala.

Wilson! Gdyby ten Smith był kolorowy, już ja bym wiedział co zrobić.

■ „Wszelka praca — dla rewolucji" — pod takim hasłem prowadzona jest obecnie w ChRL szeroka kampania propagandowa i wychowawcza. Kampanię zainicjował organ KPCh, „Dziennik Ludowy", pisząc: „Obecnie każdy kto pracuje w naszym socjalistycznym systemie pod kierunkiem rewolucyjnej władzy uczestniczy w działalności rewolucyjnej i pracy dla rewolucji. Wykonanie w należyty sposób codziennej pracy wymaga „osiągnięcia wysokiego poziomu świadomości rewolucyjnej poprzez studiowanie dzieł przewodniczącego Mao". Dopiero uzbroiwszy się w myśl Mao — kontynuuje dziennik — stajesz się polityczne dalekowzroczny, dostrzegasz perspektywy rozwoju, jesteś gotów do walki, pełen rewolucyjnego ducha i poczucia realizmu, stajesz się bojowy, uczciwy, energiczny i bezkompromisowy.

■ Były minister łączności w rządzie USA John Gronouski, mianowany przez prezydenta Johnsona ambasadorem w Polsce zaproszony został przed kilku tygodniami na pierwsze swoje dyplomatyczne przyjęcie w Departamencie Stanu wydane na cześć polskiego wiceministra spraw zagranicznych Józefa Winiewicza. Z chwilą jednak przybycia na przyjęcie nowokreowany dyplomata najniespodziewaniej w świecie zatrzymany został przez agentów bezpieczeństwa, którzy nie mogli odnaleźć nazwiska Gronouski na liście zaproszonych Amerykanów. Nieporozumienie szybko wyjaśniono. Mr John Gronouski figurował na liście... gości polskich.

> *Ludzie nie cierpią samochwałów, a mimo to, zawsze im się przysłuchują.*
>
> CASSIUS CLAY — MISTRZ ŚWIATA W BOKSIE

■ Uchylający się od obowiązku alimentacyjnego ojcowie mieli możność wyczytania swych nazwisk na łamach bratysławskiego, młodzieżowego dziennika „Smena". Redakcja pisma zamieszcza listę nazwisk 24 mężczyzn, ujawniając poza imieniem i nazwiskiem poszukiwanego, jego wiek, dokładne dane o miejscu pracy na przestrzeni ostatnich lat, ilość objętych alimentacją dzieci, a także wysokość długów z tytułu alimentów.

■ W monotonną egzystencję prasy sajgońskiej wtargnęło nieoczekiwane ożywienie. Uwagę dzienników skupiła postać nowokreowanej miss Wietnamu 18-letniej Kim Huong. Co bardziej purytańskie gazety nie kryją irytacji z powodu kreowania królową piękności kogoś o „atomowych piersiach i wargach Brigitte Bardot". Jedno z pism wyrzuca jurorom: „Jest oczywiste, że piersi tej dziewczyny działały jak magnes na zespół sędziowski".

■ 400 absolwentów z hawańskiej Akademii Medycznej otrzymało w dniu 14 listopada dyplomy lekarskie podczas spotkania z Fidelem Castro, które nastąpiło pod słynnym szczytem Pico Turquino. Wspinanie na ten najwyższy szczyt górski Kuby (1.810 m.) w masywie górskim Sierra Maestra — który był głównym bastionem Armii Powstańczej Fidela Castro, stało się próbą hartu dla młodzieży kubańskiej. Młodzi lekarze przygotowując się do 4-dniowej wyprawy na Pico Turquino trenowali przez szereg dni wchodzenie po stromych schodach na szczyt przeszło 100-metrowego obelisku - pomnika Jose Martii na hawańskim Placu Rewolucji.

■ Patrzcie państwo, wyjaśniał ochoczo jeden z czwórki słynnych londyńskich beatlesów, naszym ojcem duchowym jest sam Andres Segovia, znakomity, światowej sławy klasyk gitary. Ktoś w końcu postanowił jednak zapytać samego mistrza czy złożona publicznie deklaracja odpowiada prawdzie. Odpowiedź brzmiała: „Nie można wątpić w to, że beatlesi to bardzo mili, sympatyczni młodzi ludzie, lecz ich muzyka jest okropna. Elektryczne gitary wywołują obrzydzenie. Czy ktokolwiek słyszał pienie elektrycznych skrzypiec, albo, co na jedno wychodzi, elektrycznego śpiewaka?"

> *Moja pensja jest zobowiązaniem, bym znosił cierpliwie wszelkie zarzuty.*
>
> Sir Hugh Carlton Greene
> generalny dyrektor Brytyjskiego Radia (BBC)

MOWA DO NOGI

„Sztandar Młodych" zawiadomił nas przed niedawnym czasem, że poszczególne kluby sportowe, ich działacze, a także trenerzy, otrzymali wreszcie potężny oręż, który pozwoli im podnieść poziom naszego piłkarstwa na nieznane dotąd wyżyny. Istotnie, przydałoby się, no bo nasi kopacze piłki spisują się doprawdy marnie, a już ostatnio, na stadionie olimpijskim w Rzymie przerżnęli wręcz fatalnie. Państwo zwrócili zapewne uwagę na fakt, że nasi ukochani chłopcy grali na stojąco, prawda? Dlaczego? Dlatego, że im bodźce nie grały, to i oni też nie.

„Sztandar Młodych" prowadził energiczną kampanię w sprawie reformy piłkarskich bodźców, radził stanowczo przemawiać do nogi, ale przemawiać przy pomocy brzęczącej monety. O innych bodźcach już się u nas nawet nie mówi, bo nie działają. No, ale „Sztandar" odniósł wyraźny sukces, od nowego sezonu rozpoczniemy mowę do nogi, mowę nareszcie skuteczną.

Dotąd było tak: czy się stoi, czy się leży — 600 złotych się należy za wygrany mecz ligowy, albo 300 złotych za remis. Źle było, bardzo źle. „Sztandar Młodych" wyjaśnia: „W sytuacji tej, gdy identyczne sumy otrzymywali lepsi i gorsi, pilni i leniwi, autorzy zwycięstwa i outsiderzy, nie było oczywiście żadnego bodźca do pracy nad swoimi umiejętnościami, wystarczyło minimum, aby utrzymać się w drużynie".

Państwo sami widzą z tego, że dotąd bodźców nie było. Trzydzieści lat temu, kiedy piłkarze grali za darmo — nie ma co nawet mówić. Wyzyskiwano ich nogi bez litości, no ale to zrozumiałe, wtedy mieliśmy rządy sanacji i obszarników. Obecnie zupełnie co innego, kładziemy główny nacisk na bodźce. Odpowiednie bodźce dla wszystkich, a dla piłkarzy szczególnie! I jakże to będzie wyglądało? „Sztandar Młodych" pisze:

„Obecnie władze PZPN, z akceptacją GKKFiT, wprowadziły postulowane przez nas, indywidualne, zróżnicowane za każdy mecz wypłaty dla piłkarzy ligowych. Wysokość tych wypłat będzie zależała od oceny przez kierownictwo drużyny, postawy poszczególnych zawodników na boisku. Najlepsi zawodnicy będą mogli uzyskać za zwycięski mecz do 900 złotych, słabsi oczywiście uzyskają mniej".

Przy takim postawieniu sprawy — dwucyfrowe wyniki na naszych boiskach — murowane. Już od przyszłego sezonu. Myślę też, że piłkarze będą sobie mogli udzielać wzajemnych pożyczek, Franuś pożyczy Kaziowi dwa gole, a jedna drużyna drugiej. Jeżeli noga pójdzie do głowy po rozum, można będzie sobie nieźle żyć w pierwszej lidze, a może nawet i w drugiej. Ten system ma duże znaczenie, gdyż „nasi reprezentanci muszą walczyć przeciwko zarabiającym bajońskie sumy" — pisze „Sztandar Młodych".

Jak państwo widzą chodzi już tylko o pieniądze, o to, żeby małe pieniądze nie walczyły z dużymi pieniędzmi, gdyż nie wygrają. Tak już jest na świecie. Myśmy tego świata nie wymyślili, ale musimy na nim żyć, przystosować się. Jakże może grać Ernest Pohl przeciwko takiemu Pele jeżeli Pele ma grube dolary, a Pohl nie ma?

Uchwalony system, jest — oczywiście — daleko lepszy od istniejącego dotychczas, ale dobry jeszcze nie jest. Czegoś tu brakuje, brakuje mianowicie pieniędzy. Ze swej strony proponujemy, żeby utworzyć oficjalny rynek na piłkarzy. Wewnętrzny i eksportowy. Ten drugi — za dewizy ma się rozumieć. Każdej zimy odpowiedni ludzie z poszczególnych klubów i kadry narodowej powinni zjawiać się na takim rynku i oglądać towar. Kto da więcej — ten będzie miał gracza. Proszę pomyśleć cóż to za wspaniały bodziec, jeżeli tylko kupiony będzie z tego coś miał. Ile? To można ustalić na specjalnym posiedzeniu kompetentnego ciała.

Organizacja eksportu nie powinna nastręczać poważniejszych kłopotów. Na początek można dobre nogi dołączać do eksportowych parowozów, tokarek, czy kompletnych obiektów przemysłowych. Póki się zagranica nie pozna na talentach. A później już eksport sam poleci. Nie jest zresztą wykluczone, że kraje dopiero awansujące kupią nasze nogi za dolary.

Jeżeli powiedzieliśmy a, b, c, wydukajmy wreszcie całe abecadło. Kto wie, może uda nam się w ten sposób zrównoważyć straszliwy deficyt w klasie A, B, i C? W tych klasach nie przemawia się, niestety, do nogi, tam jeszcze grają z potrzeby serca. Drogo musimy płacić za ten nikomu już niepotrzebny anachronizm.

SPRAWY NAUCZYCIELI

Dalszy ciąg ze str. 1

Nauczyciele młodszego pokolenia, również dobrze przygotowani w większym stopniu znajdują zainteresowania, nie zawsze idące w kierunku pogłębienia życia szkoły, czy wpływu na to, co się w szkole dzieje.

Szkoła jako ogniwo administracji oświatowej przejęła na siebie szereg funkcji dydaktyczno-opiekuńczych, czym kiedyś obciążona nie była. Tendencja ta jest zresztą tendencją wzrastającą. Pewien wpływ wywiera tu także sytuacja materialna nauczyciela, jego ustawiczna pogoń za dodatkowymi źródłami zapewnienia sobie i swojej rodzinie warunków utrzymania.

ODGŁOSY: Jaki jest udział nauczycieli w przygotowywanej reformie szkolnej?

MGR JAN PASIEKA: Prawie każdy nauczyciel, który podejmuje pracę w zreformowanej klasie przechodzi specjalistyczny kurs. Nowe programy nauczania są w dalszym ciągu programami tymczasowymi. Muszą one przejść pewną „praktykę szkolną", aby nabrać formy obowiązującej. Na terenie Łodzi są dwa zespoły nauczycielskie (szkoła 26 i 173), które przez 5 lat będą prowadziły szczegółowe badania programów ośmiolatki. Jest to praca nadzwyczaj trudna i odpowiedzialna. Prawie w każdej komisji programowej Ministerstwa Oświaty uczestniczą nasi przedstawiciele. Braliśmy czynny udział w ocenie przygotowywanych podręczników. Należy z uznaniem także podkreślić udział pracowników naukowych UŁ w przygotowaniu reformy szkolnej. Wielu z nich było autorami bądź współautorami nowych propozycji programowych.

ODGŁOSY: — A ZNP?

MGR JAN PASIEKA: Działalność ZNP polega głównie na dokształcaniu kadr nauczycielskich, przygotowywaniu pełnokwalifikowanego personelu dydaktyczno-wychowawczego. Ambicją Związku jest, aby cała kadra nauczycielska w mieście posiadała wykształcenie wyższe bądź półwyższe. Jesteśmy bliscy osiągnięcia tego celu. Jest to ważne i z tego względu, że reforma szkolna zakłada, iż każdy nauczyciel, który pragnie realizować program 8-letniego nauczania musi posiadać wykształcenie półwyższe. A jest jeszcze w Łodzi znaczna liczba nauczycieli, którzy ze względu na wiek nie mogą podjąć studiów. Nauczycielom tym stworzyliśmy możliwość składania egzaminów eksternistycznych i uzyskania wymaganych kwalifikacji. Poprzez powyższą formę kształcenia około 400 osób zdobyło już dyplom ukończenia SN.

ODGŁOSY: Panie prezesie, czy zechciałby Pan podzielić się uwagami na temat aktualnych warunków lokalowych szkolnictwa łódzkiego i stanu wyposażenia technicznego szkół.

MGR JAN PASIEKA: Istotną sprawą dla Łodzi jest osiągnięcie na przestrzeni kilku ostatnich lat wydatnej poprawy warunków lokalowych szkolnictwa. Większość szkół podstawowych, średnich, a także zawodowych, znajduje się w nowych budynkach. Jest to niewątpliwie zasługa łódzkiej Rady Narodowej. Ten olbrzymi wysiłek podjęty w zabezpieczeniu izb szkolnych wyprzedził wyposażenie szkół. Obecnie istniejące w szkołach ogólnokształcących pracownie fizyczne, chemiczne, biologiczne, techniczne nie w pełni zabezpieczają wymagany programem proces nauczania, a szczególnie nie są przygotowane do podjęcia realizacji programu nauczania w zakresie szkoły ośmioletniej — szkoły podstawowe. Choć szkoły te posiadają zestawy pomocy naukowych to jednak niewiele jest takich szkół, które będą mogły realizować zajęcia np. z fizyki pełnym frontem. Wysiłki Rady Narodowej oraz władz oświatowych muszą zatem pójść w kierunku dofinansowania szkół, aby zabezpieczyć je w niezbędne pomoce naukowe a szkolnictwo zawodowe w bardziej nowoczesny zestaw maszyn.

ODGŁOSY: Czy uważa Pan obowiązujący u nas system kształcenia kadr nauczycielskich za zadowalający?

MGR JAN PASIEKA: System ten jest niezadowalający. W każdym razie nie do utrzymania na przyszłość. Sprawą budzącą najwięcej wątpliwości są SN. Dwuletni okres nauki jest stanowczo za krótki na wykształcenie (w pełni przygotowanego do zawodu nauczyciela. Ponadto SN nie są powiązane programowo z uczelniami wyższymi. Absolwent SN, aby kontynuować studia wyższe musi rozpoczynać je od początku, od egzaminu wstępnego na równi z absolwentami szkół średnich. Przyzna pan, że niewłaściwość tej struktury jest oczywista. Związek kilkakrotnie postulował zmianę obecnego modelu SN. Sądzimy, że w programie SN należy dokonać takiej modyfikacji, aby absolwent tej uczelni mógł mieć zaliczony przynajmniej jeden rok studiów na analogicznym kierunku uczelni akademickiej.

Szkolnictwo typu SN jest jednak tylko doraźnym rozwiązaniem problemu kształcenia nauczycieli. Wydaje się, że zbliżamy się do momentu, kiedy trzeba będzie zrealizować w pełni postulat Związku zgłaszany już na przestrzeni kilku ubiegłych, lat, oparcia kształcenia nauczycieli o studia wyższe.

ODGŁOSY: Jakie zagadnienie z całego wachlarza spraw, którymi zajmuje się Związek, nastręcza najwięcej kłopotów.

MGR JAN PASIEKA: Przede wszystkim problem mieszkaniowy. Mimo wielu wysiłków nie udało nam się dotychczas zadowalająco go rozwiązać. Na mocy podjętej przed kilku laty uchwały Rada Narodowa wydzieliła z własnej puli około 180—200 izb w stosunku rocznym, przeznaczając je nauczycielom. Dzięki temu przydzielono mieszkania nauczycielom mieszkającym kątem, na poddaszach czy w suterenach. Pozostaje jeszcze jednak poważny procent nauczycieli, zwłaszcza młodych, którzy oczekują przydziału mieszkań.

Sprawa skomplikowała się obecnie w związku z rygorami obowiązującej ustawy o kierowaniu zainteresowanych mieszkaniami do spółdzielni. W bieżącym roku ze wspomnianej puli Rady Narodowej pozostało do rozchodowania jeszcze około 70 izb. Złożonych wniosków natomiast jest 400. Siłą rzeczy więc około 75 proc. podań, które pozostaną po weryfikacji skierowanych zostanie do spółdzielni mieszkaniowych. Wielu zaniepokojnych tą perspektywą nauczycieli zwraca się do nas o pomoc. Z przykrością muszę stwierdzić, że pomocy tej nie jesteśmy w stanie im udzielić. W szeregu innych zawodach, zwłaszcza w przemyśle, istnieje fundusz zakładowy, dzięki któremu pracownikom tych instytucji o wiele łatwiej jest przejść do spółdzielni mieszkaniowych. Nauczyciele natomiast są w tym niekorzystnym położeniu, że ani Ministerstwo Oświaty, ani Rada Narodowa takiego funduszu nie stworzyły. ZNP uruchomił co prawda w ostatnich dwóch lat pewne kredyty pochodzące ze źródeł SFOS udzielane ubiegającym się, na zasadzie długoterminowych pożyczek zwrotnych, na spółdzielczy wkład mieszkaniowy. Ta forma doraźnej pomocy jest jednak daleko niewystarczająca. W obliczu tej sytuacji Związek nasz podejmie starania, aby pula mieszkaniowa dla nauczycieli z zasobów Rady Narodowej została utrzymana.

ODGŁOSY: Czy sądzi Pan, że pozycja jaką posiada nauczyciel w społeczeństwie odpowiada randze wykonywanego zawodu.

MGR JAN PASIEKA: Na pozycję nauczyciela w społeczeństwie składa się szereg czynników. Sprawą nie bez znaczenia jest kto idzie do zawodu nauczycielskiego. Na przestrzeni kilku ubiegłych lat kadrę nauczycielską zasiliło wielu młodych ludzi, którzy na skutek niepowodzenia życiowego, jakim było nieprzyjęcie ich na studia wyższe, zdecydowali się na przeszkolenie w SN i zatrudnienie w szkolnictwie. Zawód nauczycielski jest trudny, wymagający dużo wysiłku, cierpliwości, opanowania. Powinna do niego iść młodzież najlepsza. Muszą to być społecznicy, rozumiejący rolę wychowania, młodzież i jej sprawy.

Często sami nauczyciele pytają o rangę swojego zawodu w społeczeństwie. Wydaje się, że została ona nieco pomniejszona. Wiąże się to z wadliwym systemem rekrutacji, jak też, a może przede wszystkim, z nie najlepszymi warunkami materialnymi nauczycieli. Głęboka, wszechstronna wiedza o życiu, to ważny składnik powodzenia w pracy wychowawczej z młodzieżą. Po to jednak, aby spełnić ten uzasadniony postulat społeczny trzeba nauczycielom stworzyć taką sytuację materialną, aby byli wolni od podstawowych kłopotów materialnych. W swoim czasie Związek nasz przeprowadził ankietę środowiskową, z której wynikało, że większość kadry nauczycielskiej nie stać jest na kupno telewizora, na systematyczne uczęszczanie do teatru czy kompletowanie własnych księgozbiorów.

Związek nasz widząc nielekką sytuację nauczycieli stara się iść im z pomocą, jak choćby w postaci wspomnianych tu pożyczek na wkłady mieszkaniowe, pożyczek na kaucje, na remonty mieszkań, lub też stosuje inne formy pomocy materialnej, m. in. przez kasy zapomogowo-pożyczkowe. Pomoc ta jest jednak ograniczona. W przemyśle np. szereg tego rodzaju funkcji spełnia pracodawca, u nas zaś jak dotąd pracodawca do tego się nie poczuwa.

ROZMAWIAŁ: ZBIGNIEW FALIŃSKI

Fot. W. Paryś

NOTATNIK STUDENCKI

W naszym mrowisku akademickim istnieją tradycyjne już, wydeptane ścieżki, którymi od lat codziennie poruszają się studenckie gromady. Na ich przecięciu, w punkcie powiedziałbym węzłowym, stoi Biblioteka Uniwersytecka. Nie wdając się w długie rozważania, o jej znaczeniu i funkcji najlepiej powie nam kilka cyfr.

Zbudowana zaledwie pięć lat temu, w chwili obecnej posiada już księgozbiór obejmujący ponad 500.000 tomów, a korzysta z niego 7.000 stałych czytelników. Posiadana ilość tomów bynajmniej nie stawia jej na pierwszym miejscu w kraju. Dzierży jednak prym wśród tego typu nowych bibliotek. Czytelnicy, wbrew nazwie (BUŁ), to nie tylko studenci i pracownicy Uniwersytetu. Z jej zasobów korzystają studenci, właściwie wszystkich łódzkich uczelni. Stwarza to niebywały run na pewne podręczniki. Bywa i tak, że do niektórych ustawiają się długie kolejki zamawiających. W ciągu jednego dnia wypożyczalnią załatwia prawie 1.000 rewersów. W tym samym czasie przez obie czytelnie (czasopism i główną) przewija się ponad 600 osób. Największe nasilenie ruchu notowane jest w godzinach popołudniowych — więcej czasu wolnego od zajęć.

Po tym małym wykładzie zdajemy już sobie doskonale sprawę z wagi pełnionych przez Bibliotekę zadań. Niestety, jak zresztą wszędzie, nie brakuje tu także kłopotów. Największym chyba, dającym się już zauważyć zmartwieniem jest duża ciasnota pomieszczeń. Księgozbiór jest stale uzupełniany, a przybywają pozycje nowo publikowane. Nie zmniejsza to jednak wcale popytu na podręczniki. I tu właśnie leży sedno sprawy. Zadziwiająca jest, mówiąc możliwie najoględniej, lekkomyślność i swoboda z jaką czytelnicy korzystają z księgozbioru. „Pożyczanie sobie" książek nie jest jeszcze zjawiskiem najgorszym, choć zaczyna przybierać formy raczej niepokojące. Przeraża dopiero wandalizm z jakim przyszli inżynierowie i naukowcy podchodzą do księgozbioru. Z egzemplarzy, w których powycinano lub wprost powyrywano całe partie tekstu, dałoby się już teraz zrobić dużą wystawę. Kto wie, może nawet powinno się ją zrobić? Straszny to jednak byłby widok. Osobiście bynajmniej za nim nie tęsknię. W ten jednak sposób niejeden zapalony „czytelnik" mógłby zobaczyć do czego doprowadza jego „pasja". Niedługo dyrekcja biblioteki nie będzie już w stanie uzupełniać zniszczeń. Co wtedy zrobią ci, których w ten sposób pozbawiono pomocy w nauce? O tempora!...

Działalność ZSP przybiera rozmaite formy. Jedną z nich są tzw. Studenckie Niedziele pod hasłem „Studenci swojemu miastu". Pierwsza z tegorocznych odbyła się w październiku. Przeszło 500 studentów Uniwersytetu i Politechniki pracowało w różnych punktach miasta przy niwelacji terenu. Między innymi w ten właśnie sposób przygotowuje się miejsce pod budowę przyszłego Wesołego Miasteczka w okolicach Radiostacji.

Widać wyraźnie, że brać studencka niezupełnie jeszcze zniewieściała przy książkach — dba zresztą o to wspaniale Akademicki Związek Sportowy. Potrafią więc nie tylko ruszać głowami, ale i rękoma. Zresztą, z doskonałymi wynikami.

Wyraziłem kiedyś nieśmiałą obawę na temat stałości poczynań studenckiego Jazz Clubu. Z wielką przyjemnością przyznać muszę, że niestety omyliłem się. Studenccy jazzmani pracują i to pełną parą. W połowie października odbył się w Filharmonii poranek jazzowy, w którym zaprezentowano słuchaczom dwa z istniejących zespołów. Poranków takich ma być zresztą więcej.

Od kilku już lat organizowano pod „siódemkami" Zaduszki Jazzowe. W tym roku od tradycji nie odstąpiono. Imprezę wzbogacono jeszcze przeniesioną z Klubu Dziennikarza audycją „Jazz i poezja przy świecach". Montaż ten przygotowany przez red. A. Królikowskiego był niezmiernie interesujący. Udało się w zupełności połączyć muzykę z poezją i filmem. Doskonale brzmiały poświęcone jazzowi wiersze w wykonaniu B. Sochnackiego.

Przy okazji muszę jednak oddać sprawiedliwość zawiadamiając, że tego typu impreza nie była absolutną nowością. Przed niespełna miesiącem zorganizowano podobną, z równie dobrym skutkiem, w studenckim klubie „Balbina". Nie mogę tutaj porównywać jakości obu programów. Na chwałę red. Królikowskiego muszę jednak dodać jeszcze, że dawno nie widziałem pod „siódemkami" takiego tłoku. Czyżby zaczęła przełamywać się zła passa?

Wszystkie działające przy Jazz Clubie zespoły, a jest ich już aktualnie sześć, wystąpiły w jam-session. Okazuje się, że mamy w Łodzi trochę utalentowanych muzyków. Powstałe zaledwie przed kilkoma tygodniami Trio jazzowe H. Capa prezentuje już zupełnie dobry poziom i styl. Pozostałe zespoły, powstałe równie niedawno, lub tak już doświadczone jak Tiger-Rag, również mają się czym pochwalić. Wygląda więc na to, że będzie można pomyśleć poważnie o zorganizowaniu jeszcze w tym miesiącu I Łódzkiej Jesieni Jazzowej. Oby jak najrychlej.

Na osiedlu studenckim przy ul. Lumumby istnieją aktualnie trzy kluby — dwa Uniwersytetu i jeden Politechniki. Upływa spokojnie już drugi miesiąc roku akademickiego, a tam?... Błoga cisza, lub głośne dźwięki bigbeatu z wieczorków tanecznych. Poza wspomnianą już poprzednio imprezą w „Balbinie", nie zrobiono nic więcej. Stopniowo przestaje się dziwić występom osiedlowego „chóru", który na własną rękę dowesela mieszkańców. Czyni to co prawda w sposób raczej niewybredny i nieuczony, lecz jak mówi przysłowie: na bezrybiu i rak ryba. Dajcie już lepiej kilka, choćby małych piotek.

L. R.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE MAKOWIECKI!

„Stacją nagłej pomocy" w 44 numerze „Odgłosów" dotknął Pan dosyć bolesnego problemu, wartego jak mi się wydaje szerszej, publicznej dyskusji. Przypadkowy dyżur w pogotowiu, parę danych z mniej i więcej oficjalnych źródeł, wreszcie optymistyczne refleksje na temat świadomości polskiego chłopa składają się na konglomerat słów niezupełnie adekwatny do tytułu. Bo tytuł był chyba najpierw?

„Spójrzmy inaczej na sprawę. Od strony świadomości polskiego chłopa. Problem jest duży. Problem szacunku do drugiego człowieka, szacunku dla cudzego życia i cierpienia.

Nader często się zdarza, że gdy karetki pędzą na złamanie karku do skaleczonego palca, stłuczonego kolana, czy temperatury 36,8 stopni C, giną ludzie, którym nie ma kto udzielić pomocy.

Zbyt często, by można to kwitować słowami „Dobrze, że ma gdzie pukać", zjawisko zbyt nagminne w naszym społeczeństwie, by ograniczyć je do problemu świadomości jednej warstwy społecznej. Zresztą, warstwy obecnie tak ogromnie zróżnicowanej, że bohaterowie pańskiego spotkania z „ludem" w żadnym razie nie mogą być jej reprezentantami, a z pewnością w sytuacjach, które pan przedstawił.

Ale mniejsza o sprawy, w których najbardziej kompetentni są ekonomiści, politycy, wreszcie socjolodzy. Mnie chodzi o sprawy, które Pan przypuszczam, mimo woli zbagatelizował. Bo widzi Pan, ja jestem lekarzem. Mam za sobą trochę pracy w Pogotowiu i widziałem parę razy tragiczne skutki ludzkiej bezmyślności. Ludzkiej, nie „chłopskiej". Bo, proszę pana, ci, którzy używają do banalnych dolegliwości Pogotowia, to nie tylko chłopi, ba; to w mniejszości, w dużej mniejszości chłopi, przynajmniej na terenie, na którym pracowałem. W przybliżeniu odsetek zamieszkujących tamten teren chłopów był podobny jak tutaj. Poziom kulturalny chyba też podobny. Wie Pan, Redaktorze, wydaje mi się nawet, że wytworzyła się już pewna kategoria ludzi, na którą składają się wszystkie warstwy społeczne, którzy to ludzie bardzo łatwo sięgają po telefon, wzywając Pogotowie, bo im się to „należy", bo od tego jest Pogotowie, żeby „jeździć"; bo „nie ma czasu chodzić na rejon"; czy wręcz po to; by dostać zwolnienie z pracy. I tu równie często co chłopi, którzy „dobrze że wiedzą gdzie stukać" zdarzają się ludzie z Pana warstwy. Ludzie nieodpowiedzialni, dla których nie jest problemem odróżnić termofor od termometru.

Szkoda, że Pan nie pisze o tym, jak panowie dyrektorzy, inżynierowie, etc. potrafią grozić prokuratorem, kiedy odmawia się wyjazdu do banalnych przeziębień, rozhisteryzowanych żon, konsultowanych i opatrzonych po dziurki w nosie przez rozmaite sławy medyczne. Szkoda, bo ludzie w mieście łatwiej sięgają po słuchawkę niż chłop, czasem wędrujący parę kilometrów do najbliższego telefonu.

(STAŁY CZYTELNIK)

WACŁAW BILIŃSKI

Autoportret NAUCZYCIELA

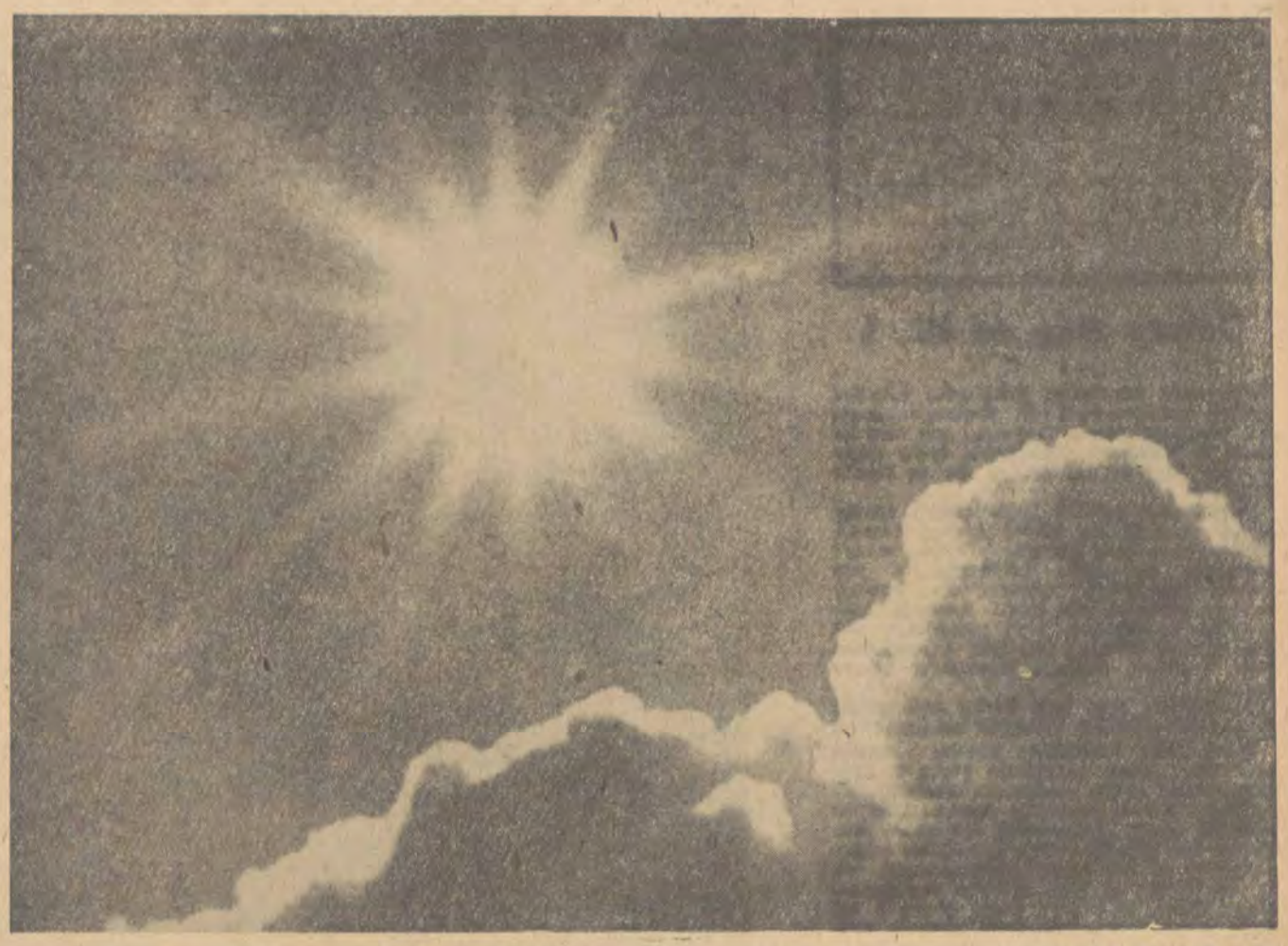

Fot. W. Piątkiewicz

Nie znamy Jego twarzy, nigdy nie słyszeliśmy Jego głosu: nie wiemy niczego o Jego zwyczajach, upodobaniach i nawykach. Był zapewne zwykłym, przeciętnym nauczycielem. Zwykłym i przeciętnym — cóż dla nas znaczą te określenia? Spróbujmy sami dać odpowiedź na to pytanie.

Ułatwić może to brulion, który dzięki przypadkowi trafił w me ręce: zniszczony, w naddartej okładce i o pożółkłych kartach przemówi Jego słowami. Na jednej z pierwszych stron starannym i staroświeckim pismem skreślona karta tytułowa: „Kronika Szkoły Powszechnej 7-klasowej w Działoszynie od roku 1918 czyli od czasu Odrodzenia Niepodległej Polski zapoczątkował i spisał w sposób krótki Z. Krupa p.o. kier. Szkoły". I żeby było ponad wszelką wątpliwość wiarygodnie — potężna, opatrzona orłem pieczęć szkoły.

Uznajmy, iż karta tytułowa dokonała już koniecznej wstępnej prezentacji: Poznaliśmy pana Z. Krupę, nauczyciela i kronikarza — amatora. Teraz posłuchajmy opowieści o Jego zagubionej w owych latach na zupełnym odludziu Szkole. Będzie to zarazem opowieść o Jego własnych losach, rodzaj szczególnej, zasługującej, jak sądzę, na uwagę autobiografii. Zacznie się od typowego komentarza i opisu.

„W czasie I wojny światowej szkoła przedstawiała bardzo smutny widok i mieściła się w domach wynajętych, zupełnie nie nadających się na uczelnię. Często, bo corocznie, zmieniała swe siedziby, była włóczona po żydowskich śmietnikach, gdyż obywatele Działoszyna nie dbali o szkołę. W roku 1920 dopiero został kupiony dom przy ulicy Warszawskiej, który przeznaczono na szkołę.

Po wypędzeniu Niemców i Austriaków... szkołą kieruje pan Zagórski Antoni, lecz powodowany nieszanowaniem i niedocenianiem jego pracy przez obywateli, wyjeżdża z Działoszyna a na jego miejsce przychodzi p. Krupa Zygmunt z Małopolski zachodniej, obejmuje posadę i pełni obowiązki kierownika szkoły od dnia 11 listopada 1921 r."

Młody jest wówczas pan Krupa Zygmunt i pełen energii. Czy starczy mu jej, by stawić czoła trudnościom? Oto, co sam o tym napisał przed wielu laty.

„Podobnie jak w latach ubiegłych, jest biedna i sieroca dola szkoły w Działoszynie. Brak jest sił nauczycielskich, a pracujący są marnie wynagradzani, budynek własny brudny, opuszczony...

Dzieci w wieku szkolnym jest w Działoszynie z górą 500, lecz z powodu braku sił nauczycielskich i sal szkolnych, wałęsają się po ulicach osady. Nie wszyscy, niestety! mieszkańcy osady dążą do rozwoju oświaty wśród młodzieży, są i zupełnie ospali i obojętni na wszystko, stosując się jeszcze do prastarych obyczajów".

Płyną lata, trwa ta Siłaczka — czy może Orka na Ugorze. Notatki pana kierownika Krupy co roku brzmią tym samym gorzkim tonem.

„W roku szkolnym 1923/1924 uczęszcza dzieci szkolnych 380. W styczniu 1924 roku lekcje na kilka dni przerwano, gdyż spadły olbrzymie śniegi. W początkach roku szkolnego przerwano lekcje w szkole z powodu szkarlatyny w osadzie Działoszyn. Sił nauczycielskich jest 5. Dużo dzieci opuszcza lekcje".

I tak aż po schyłek lat dwudziestych. Dopiero po upływie dziesięciolecia od odzyskania niepodległości coś pozytywnego zaczyna się dziać w Działoszynie. Oto pierwszy zwiastun postępu:

„W roku szkolnym 1927/28 Szkoła Pow. w Działoszynie została przemianowana na 7-mio klasową. Wypada nadmienić też, że w kancelarii szkolnej mieści się radioaparat, który jest od czasu do czasu pomocą przy nauczaniu różnych przedmiotów. W roku 1925-tym a także w kwietniu 1928-mym zostało urządzone „Święto sadzenia drzewek" przez dzieci szkolne.

Wspomnieć również należy, że od roku 1925-go mieści się w kancelarii szkolnej w Działoszynie „Czytelnia Ludowa", z której korzystają mieszkańcy Działoszyna i wypożyczają książki. Młodzież Działoszyna, zwłaszcza płci męskiej nie bardzo się garnie do czytelni, co jest dość smutnym objawem..."

W istocie, ta niechęć do książki jest, jak to celnie określił pan kierownik „objawem dość smutnym", a przy tym jakże trwałym. Nie przełamie owej niechęci Czytelnia Ludowa, pierwsza w historii Działoszyna. Ale oddajmy jej należne: była przecież placówką pionierską. I pionierem był pan Kierownik szkoły, któremu nie brak, jak się przekonamy, zmysłu obserwacji. Oto jedna z uwag na marginesie kroniki.

„Religii w szkołach udzielają miejscowi księża, a większą część lekcji miewają wikarzy, którzy się bardzo często zmieniają i dlatego dzieci nigdy nie przerobią przepisanego programem materiału i *nie odnoszą większych moralnych i duchowych korzyści*".

Szkoła tymczasem awansowała: jest już ogniskiem spraw społecznie ważnych. I choć głos kronikarza brzmi może dla nas nieco naiwnie, pamiętajmy, jak odległa to epoka.

„W listopadzie 1928 roku przypadła uroczystość 10-lecia niepodległości Polski, w której wzięły udział wszystkie dzieci szkolne. Odbyła się msza święta polowa, następnie defilada po ulicach osady Działoszyn ze śpiewami i muzyką. Na placu Tadeusza Kościuszki wygłosił okolicznościowe przemówienie kierownik szkoły p. Krupa Zygmunt, po czym pochód rozwiązano.

29 czerwca 1929 roku urządzona została wycieczka szkolna na Wystawę Krajową do Poznania. Wystawa wywarła na dzieciach ogromne wrażenie. Zwiedzono niebywałą w Polsce wystawę, zabytki Poznania i ogród zoologiczny. Przez podróż koleją żelazną dzieci poznały krajobraz Wielkopolski."

Nauczyciel stał się w małomiasteczkowym środowisku działaczem — inicjatorem: lakoniczna notatka zdradzi nam co w ciągu długich lat było siłą napędową jego poczynań: to entuzjazm, w najczystszej, rzec można, krystalicznej swej postaci:

„Ponieważ szkoła w Działoszynie nie posiada dostatecznej ilości pomocy naukowych, z inicjatywy kierownika szkoły Krupy Zygmunta rodzice opodatkowali się dobrowolnie po 1 zł od dziecka i za zebraną sumę szkoła kupi sobie gabinet fizyczny. Z powyższego widać, że rodzice doceniają wartości szkoły i stają się jej przyjaciółmi."

A więc entuzjazm i optymizm. By leby tylko cech tych nie utracić, bo o to w Działoszynie łatwo.

„Kierownictwo szkoły zwołując zebranie nauczycielskie zwróciło się z prośbą do Zarządu Miejscowej Spółdzielni Kredytowej dla Chrześcijan o udzielenie sali na zebranie rodziców. Na pismo to kierownictwo szkoły nie otrzymało żadnej odpowiedzi piśmiennej, a ustną odpowiedź dwuznaczną i niejasną. W odpowiedzi na to kierownictwo szkoły wystosowało urzędowe podziękowanie z zaznaczeniem, iż zapisze ten fakt w kronice szkolnej, co tutaj zostało uwiecznione. Członkami Zarządu i Rady Nadzorczej Spółdzielni byli wówczas p. p. Hartel Jan i Belke Ryszard. Zaznaczyć należy, że jeden z nich był zarazem członkiem Opieki Szkolnej i nie tylko nie przyczynił się do poparcia prośby ale był obojętny w tej sprawie."

Dodajmy od siebie to co piszącemu wówczas te słowa p. Zygmuntowi Krupie było jeszcze niewiadome. Owi kierownicy Spółdzielni Kredytowej dla Chrześcijan — jak się okazało po latach — czuli się Niemcami i skwapliwie przyjęli jeszcze we Wrześniu volkslistę.

Zbliża się ukoronowanie wieloletnich zabiegów i kołatań pana kierownika szkoły „włóczonej dotąd po śmietnikach".

„...osada Działoszyn postanowiła rozpocząć budowę gmachu szkolnego i uczyniono to w dniu 17 sierpnia 1934 roku. 27 września 1934 roku było urządzone uroczyste poświęcenie fundamentów w obecności władz powiatowych i szkolnych. Kierownik szkoły p. Krupa Zygmunt odczytał akt erekcyjny napisany na pergaminie, który został włożony do oprawy mosiężnej z kuli armatniej, zalutowany a następnie zamurowany przez pana Starostę w murze (narożniku) od strony zachodniej. W tymże roku szkoła powzięła myśl ufundowania sztandaru za sumę zł 300, który poświęcono b. uroczyście w dniu 8 grudnia 1934 r."

Teraz wszystko wydaje się zmierzać ku lepszemu, tak przynajmniej sądzi zapracowany pan kierownik.

„Szkoła miejscowa pracuje już w lepszych nieco warunkach lokalowych od dnia 1 listopada 1935 roku, gdyż opuściła 4 liche sale wynajęte w prywatnych domach a zajęła cały parter nowego gmachu szkolnego. Meble szkolne i całe urządzenie sal szkolnych przeniosły same dzieci i uczyniły to z nieopisaną radością! W latach pierwszych istnienia szkoły wyniki promocji dzieci były wprost zastraszające. Obecnie, to jest w roku szkolnym 1934/1935 wyniki promocji osiągnęły prawie 92 proc.

Rok szkolny 1936/1937 rozpoczął się normalnie pomimo iż w budynku było stacjonowane wojsko będące na manewrach. Wszystkie dzieci zostały umieszczone w nowym gmachu, który jest wygodny i obszerny. Należy tu zaznaczyć, że budynek został wykończony dzięki silnej woli, poświęceniu i niestrudzonej pracy kierownika szkoły pana Krupy Zygmunta, który poświęcił wszystko aby tylko tę szkołę wykończyć."

Lecz nawet w nawale zajęć nauczyciel dostrzega groźne symptomy nadciągających burz. Oto co zapisze w kronice pan kierownik:

„Praca wychowawcza i dydaktyczna w roku szkolnym 1936/37 była prowadzona dość dobrze pomimo, iż napotykała szkoła na duże trudności jak np. antysemityzm wśród dzieci i społeczeństwa."

Lecz przede wszystkim wytężona, codzienna praca, z jej małymi radościami i wielkimi troskami.

„W ciągu roku szkolnego przygotowała szkoła dzieci do „Święta Pieśni i Wychowania Fizycznego", które odbyło się 6 czerwca 1937 r. w Wieluniu. Wypadło ono imponująco i wspaniale, przy udziale 5.000 dzieci z całego powiatu. W październiku, przy pomocy młodych chłopców odrabiających wojskową służbę zastępczą zostało zniwelowane boisko szkolne. Była to praca b. mozolna bo nie posiadano żadnego wózka do przewożenia ziemi. Natrafiono wówczas na grobowiec z kośćmi umarłych. Grobowiec był murowany z kamienia i jeszcze ślady jego znajdują się w miejscu dawnego kościółka św. Marka około 6 metrów od stawu. Odkopanie miało miejsce w dniu 2 listopada 1937 roku."

Działoszyn leży tuż przy granicy. Burza, nadciągająca z Zachodu, kładzie się na życiu osady, coraz głębszym cieniem. Daje temu wyraz kronika.

„Szkoła w dniach wrześniowych 1938 roku przeżywała b. gorączkowe chwile, grożące wybuchem wojny. Europa cała była zelektryzowana wiadomościami i posunięciami jakie czynił Hitler grabiąc poszczególne terytoria sąsiadujących państw. Ale tym razem groza wojny minęła i wszyscy z ulgą odetchnęli. Praca w szkole przez cały rok szła trybem normalnym, ale wydarzenia w świecie zwiastowały bliską wojnę. Nauczycielstwo odbyło 4-dniowe kursy obrony przeciwgazowej, młodzież szkolna zbierała żelastwo na Fundusz Obrony Narodowej. W szkole było rozwinięte modelarstwo i na powiatowych zawodach modeli uczeń klasy siódmej Wyporski Jan zdobył puchar przechodni L.O.P.P. Budynek szkolny nie był zupełnie jeszcze wykończony i o wykończeniu nie było mowy, gdyż brakowało na to funduszów."

Wojna spadła na osadę rankiem, 1 września 1939 roku ciężkim bombardowaniem i pożarami. Ocalało z nich ledwie tuzin domów. W jaki sposób ocalała i Kronika, w której następne zapisy pochodzą już z okresu po wyzwoleniu?

„Nauczycielstwo rozproszyło się po różnych stronach Polski, a kierownik szkoły zawędrował aż do granic wschodnich, w okolice Krzemieńca i Tarnopola. Wrócił do Działoszyna dopiero w połowie października. Zastał w budynku szkolnym ludność miejscową, która pozajmowała wszystkie sale i niszczyła meble szkolne, biorąc je na opał. Cały budynek czynił ogromnie przykre wrażenie. Jedna część była zupełnie wewnątrz wypalona, ściany osmalone i okopcone od dymu, zaduch i smród, w suterenach rozbite obrazy, poszarpane mapy, słowem obraz nędzy i rozpaczy. Sztandar szkolny i puchar zdobyty w zawodach L.O.P.P. został zabrany przez Niemców. Przebywał kierownik szkoły z ludnością około czternastu dni w budynku, a kiedy widział, iż Niemcy codziennie interesują się jego osobą, wyjeżdża potajemnie do Częstochowy, a potem do Oświęcimia, gdzie mieszka z rodziną przez wojnę, i w ten sposób unika aresztowania ze strony Niemców.

Co czynił okupant przez okres całej wojny z ludnością Działoszyna, to nie mieści się w kronice, gdyż to określi historia."

I znów — jak to w Polsce bywa regułą — trzeba dźwigać wszystko od fundamentów. Czy starczy sił? Pismo pana Zygmunta Krupy staje się mniej pewne, głos jego traci nutę optymizmu i młodzieńczej siły. Lata tułaczki biorą swój haracz.

„Po długiej i ciężkiej okupacji nastała chwila wyzwolenia. Kierownik szkoły ob. Krupa Zygmunt wraca do Działoszyna po uruchomieniu ruchu kolejowego w dniu 10 marca 1945 roku i zastaje mocno zniszczony budynek szkoły zajęty przez Armię Czerwoną na szpital, ale szkołę już uruchomiono w budynku bankowym. Stan szkoły jest opłakany. Brak mebli, brak pomocy naukowych i innych potrzebnych rzeczy, a liczba dzieci dość duża gdyż wynosi 375 uczniów. Jeszcze bardziej opłakany jest los i położenie nauczyciela."

I oto stary nauczyciel przekazuje swoją szkołę w ręce kolegi, przyjaciela, wychowanka. Już inne pismo wniesie następny zapis na karty kroniki.

„W roku szkolnym 1947/48 kierownik szkoły poważnie choruje na zapalenie płuc i po powrocie do zdrowia wraca do pracy i spełnia obowiązki do 1. III. 1948 roku. Od pierwszego marca 1948 roku powtórnie choruje i zostaje wywieziony do szpitala chorób zakaźnych, gdzie kończy życie wieloletni wychowawca i kierownik szkoły w osadzie Działoszyn. Zwłoki jego przewieziono z Wielunia i pogrzebano na cmentarzu parafialnym w Działoszynie. W pogrzebie brała udział rodzina oraz miejscowe nauczycielstwo i społeczeństwo."

Czymże jest ta kronika, jeśli nie autoportretem nauczyciela? Jego Szkoła w Działoszynie — dziś jedna z licznych w osadzie — jest więc i swego rodzaju pomnikiem. Chociaż nie umieszczono na jej murach żadnej tablicy pamiątkowej, przecież jest to szkoła pana kierownika Z. Krupy, człowieka, który oddał jej swe życie, który — jak tysiące nauczycieli w całym kraju — na swych barkach dźwigał trud często ponad siły.

PAMIĘTAJMY O JEGO CZYNIE!

Redakcja serdecznie dziękuje za udostępnienie kroniki długoletniej współpracowniczce jej autora, a obecnej kierowniczce szkoły pani Otylii Skarbczyńskiej.

ODWIEDZINY W Wieży Babel

Dalszy ciąg ze str. 1

Fot. A. Dębowski

ach. Przeważnie ten okres wystarcza. Opieka ZSP obejmuje w zasadzie wszystko. Bo to i trzeba pomóc w nauce, załatwić rozmaite sprawy, w których zazwyczaj gubią się od razu, czasem nawet pomóc kupić płaszcz, czy skarpetki. Dosłownie, na wszystko trzeba być przygotowanym.

2.

Hernan Ojeda Rodriguez przyjechał z Ekwadoru przed niespełna miesiącem, dzięki stypendium przyznanym mu przez Międzynarodowy Związek Studentów. Ma teraz zamiar studiować budowę silników lotniczych. Przez ten miesiąc niewiele nauczył się po polsku. W sklepie porozumiewa się na migi. Było to dotąd kłopotliwe, ale czego się nie robi dla ulubionych przysmaków — strasznie lubi mleko, a racje stołówkowe nie wystarczały mu. I rozpacz — poza wczesnymi godzinami rannymi mleka nie można dostać. My to znamy, ale on... w każdym bądź razie, teraz już wie na pewno, że w Polsce jest dużo zimniej niż się spodziewał — „Kiedy za kilka lat wrócę do swoich, pomyślą, że rozmawiają z pingwinem". Jak to podobno bywa, im mniejszy klimat, tym cieplejsi ludzie — „Polacy są naprawdę bardzo, bardzo mili". Zadziwiające, proszę rodaków. Okazuje się, że potrafimy być mili, uśmiechnięci i nawet serdeczni. Szkoda, że tylko na pokaz.

O nauce Hernan mówi niewiele: — Uczę się. Język jest trudny. Co za dziwne dźwięki. Ale profesorka jest wspaniała. Genialnie mówi rękoma.

3.

To prawda! Czasem, szczególnie w początkowym okresie, sprawa porozumienia się z uczniami jest nie lada problemem. Przywołuje się wtedy na pomoc całą swą znajomość języków obcych i mimikę. Szyfruje się niezliczone ilości pomocy, nieraz bardzo pomysłowych. Ot, chociażby takie obrazki na flaneli. Na flanelowym ekranie umieszcza się podklejone flanelą rysunki przedstawiające ludzi, wnętrza, przedmioty. Można z tego nawet komponować całe sytuacje. Jest jeszcze masa przezroczy, obrazków, są magnetofony itp.

Studium najbardziej chyba chlubi się podaniem własnej sali do nauki audio-wizualnej. W oszklonych kabinkach siedzą ze słuchawkami na uszach studenci i głośno powtarzają nagraną na magnetofon lekcję. W międzyczasie na ekranie wyświetla się ilustrujące zadania przezrocza. Siedząc przy pulpicie wykładowca jednym ruchem przełącznika łączy się z tą, czy inną kabiną. Wspaniałe! Można by powiedzieć — szczyt techniki. Można by, ale po co? Wystarczy gdy powiem, że magnetofony to nasze stare znajome — Melodie. Więc nic nie trzeba. Kłopoty są nawet ze zwykłymi rzutnikami. Pracują one na lampach niemieckich, a tych nigdzie nie można dostać. W rezultacie czynne są tylko dwa. Co jednak będzie, gdy i one się przepalą?

Nauka w Studium odbywa się w niewielkich, dwunastoosobowych grupach. Dobierano je przeważnie pod względem zainteresowań: humanistyczne, politechniczne, medyczne. Poza nauką języka jako takiego, wprowadzono też zajęcia innego typu, mające zapoznać słuchaczy z całym zasobem terminów specjalnych. Grupy są rozmaite. Humaniści na przykład zaczynają już wcale ładnie mówić. W innych grupach idzie nieco oporniej. Cóż, ludzie są ludźmi. Z pomocą stara się przyjść ZSP. Opiekunowie grup dwa razy w tygodniu organizują repetytoria, wyjaśniają zawiłości gramatyki. Później nadawane będą przez radiowęzeł powtórzenia lekcji, które rano przerabiane były w Studium. Powinno to pomóc jeszcze wydatniej. Zobaczymy.

4.

Uczniami takiej właśnie, nieco już zaawansowanej grupy humanistycznej są Alicja i Eduardo Mancera, młode małżeństwo z Wenezueli. Zresztą, choć młodzi, mają już wcale ładny dorobek. Alicja ukończyła antropologię, a Eduardo po skończeniu Instytutu Teatralnego w Paryżu, przez dwa lata był dyrektorem Teatru Narodowego w Caracas. Teraz oboje chcą studiować reżyserię filmową.

W rozmowach jakie prowadziliśmy, jak i z innymi zresztą, cały czas przewijała się nutka zadowolenia z pobytu w Łodzi. Niedawno nawet dostali list od przyjaciela, który pod wpływem ich entuzjastycznych listów rozpoczął starania o przyjazd do Polski. Naturalnie jest wiele spraw, których nie rozumieją, zjawisk, które dziwią ich i zaskakują. Najklasyczniejszym przykładem może tutaj być tak entuzjastycznie naśladowany przez niektórych młodzieńców „amerykański styl bycia". — „Jak w ogóle można ich lubić po tym, co robią w Wietnamie, czy chociażby u nas w Wenezueli?" — I długie godziny tłumaczeń, wyjaśniania. Najbiedniejszy jest mój cicerone. Tłumaczy i tłumaczy... W końcu jednak wiele sobie wyjaśniamy.

Eduardo najchętniej mówi o swych zamierzeniach. Przywiózł wiele tekstów. Zabierają się teraz do tłumaczenia. Pragnąłby kontynuować swe prace reżyserskie. Dla praktyki po prostu, bezpłatnie. Myśli przy tym, że zastrzyk południowoamerykańskiej dramaturgii ożywiłby wydatnie repertuary łódzkich teatrów. Wiele korzyści mogłaby przynieść obopólna wymiana doświadczeń. W zupełności podzielam jego zdanie. Warto pomyśleć o wykorzystaniu tych chęci.

5.

Skłonny byłem uznać budynek VI DS-u za jeden z najładniejszych w Łodzi. Wysoki, 10-piętrowy budynek, ładnie usytuowany, o prostej i szlachetnej linii. Mieści przeszło 200 lokatorów w dwuosobowych, można powiedzieć komfortowo wyposażonych pokojach. Istne cacko, tylko...

Kiedy w VII wieku p.n.e. król Nabopolassar odrestaurował babilońską świątynię, dumny ze swego dzieła kazał wyryć na podstawie wieży napis: — „Ludzi wielu narodowości zmusiłem do pracy przy odbudowie wieży". — Nic chyba dziwnego, że w ludowym podaniu Wieża Babel stała się symbolem zła słusznie ukaranego zniszczeniem. Łódzki sikkurat ma więcej szczęścia. Jego przeznaczenie zapewnia mu szacunek, jednak jego los przypomina mi nieco dzieje babilońskiej wieży. Choć bynajmniej nie nastąpiło jeszcze pomieszanie języków (może z wyjątkiem mego przepracowanego przewodnika), jednak Wieża... trzeszczy Tak! Dosłownie trzeszczy w posadach. Oddana do użytku przed dwoma laty, wielkim głosem domaga się należnego jej remontu. Tynki po wyschnięciu wyglądają jak ostrzelane z CKM-u. Okna wyschły i oczywiście powypaczały się. W wielu brak szyb. Trudno dziwić się, że przywykły do upałów Hernan obawia się, że zamieni się w pingwina. A co mają powiedzieć inni studenci, z Maroka, Ghany, Kenii...? Należałoby zastąpić ładne, lecz kruche, a więc połamane klamki na coś solidniejszego. Trzeba doprowadzić do porządku zacinające się drzwi.

Wydaje się nieco dziwne, że tych bezwzględnie koniecznych prac nie przedsięwzięto w najlepiej nadającym się do tego okresie letnim. Teraz do zamieszkałych pokoi wejdą malarze, cieśle i inni. Dopiecóż to będzie taniec! Serce rośnie.

Dyrekcja Uniwersytetu tłumaczy tę zwłokę trudnościami w uzyskaniu potrzebnych materiałów. Każdy nowy dom wymaga po roku takiego remontu. Rzecz bynajmniej nietrudna do przewidzenia. Można było rozpocząć starania przed rokiem. Wtedy na pewno wszystko byłoby na czas.

6.

Zajęcia w Studium zajmują całe przedpołudnie. Reszta czasu pozostaje do wypełnienia. Można rozmaicie. Na parterze jest kawiarenka i czytelnia, gdzie przy kawie można poczytać i podyskutować. Wiele w tej dziedzinie robi ZSP, organizując spotkania dla poszczególnych grup. Jest w Łodzi Klub Nowej Afryki cieszący się dużą popularnością.

Jedni wykorzystują wolne chwile na powtórzenie zadanych lekcji, jeszcze inni, jak Alicja i Eduardo, wędrują po teatrach i kinach zapoznając się z naszą kulturą. W niedługim czasie mają być zorganizowane wycieczki po Łodzi, dla lepszego poznania miasta, w którym przyjdzie spędzić kawałek czasu. Niektórzy już zwiedzają, na własną rękę, trochę po kawiarniach i barach. Wszyscy zgodnie podkreślają swoją sympatię do naszego miasta i życzliwe przyjęcie z jakim się spotykają.

Bardzo nam przyjemnie.

LESZEK ST. RUDNICKI

Obroty rzeczy

MROŻONA NIEŚMIERTELNOŚĆ

Warszawski „Express" doniósł niedawno: „cena za wieczne życie została już skalkulowana". Okazało się, iż firma Juno Inc. ze Springfield w stanie Ohio może zapewnić nieśmiertelność, a minimum 1000 lat życia każdemu, kto wpłaci na jej konto 8000 dolarów. 800 dolarów za sto lat życia, to się może nawet opłaca.

Zwłoki tych, co zapłacą, powiada prezes firmy, pan Leonard Gold, zostaną przechowane w „narkotycznych wannach", czyli w próżniowych rurach z aluminium, w stanie zakonserwowania przy pomocy ciekłego azotu lub helium. Zwłoki takie, nie zżarte przez robaki, mają szanse doczekać ożywienia, kiedy nauka będzie już umiała przywracać zamrożonym organizmom funkcje życiowe bez względu na to, jak długo pozostawały w stanie śmiertelnego uśpienia.

Zanim ci liczni spośród nas, którzy mają wolne 8000 dolarów zaczną robić tłok przed Biurem Paszportów MSW, niech się wstrzymają na chwilę i wraz z pozostałą mniejszością rozważą perspektywy realności tego, co proponuje Juno Inc.

Sądzę, że prezes tej firmy jako taki nie wierzy w nieśmiertelność, przynajmniej własną, i dlatego bardzo szybko chce zrobić duże pieniądze. Ale to jedna sprawa, a druga to — czy jego reklamowe propozycje mają jakieś podstawy naukowe? Biologowie, jak Jean Rostand, wierzą w możliwość zapewnienia człowiekowi nieśmiertelności właśnie poprzez zastosowanie niskich temperatur.

Więc najpierw o niskich temperaturach. Ich świat tak zainteresował uczonych, że powstała cała gałąź fizyki, zwana kriogeniką. Okazało się, że pewne procesy przebiegają w bardzo niskich temperaturach zupełnie inaczej; np. w niskich temperaturach cząstki i atomy poruszają się w zwolnionym tempie, co pozwala na lepszą obserwację ich ruchu, na kontrolowanie reakcji chemicznych, na bardziej precyzyjne oczyszczanie gazów i metali. Elektroniczne maszyny cyfrowe, urządzenia wrażliwe, jak arabskie konie, nie lubią gorąca, obniżona temperatura umożliwia zaś ich miniaturyzację do wymiarów pudełek. Lasery i masery mogą powstawać tylko przy pomocy niskich temperatur. Nawet tak gorąca specjalność, jak hutnictwo, niskim temperaturom zawdzięcza najdroższe gatunki stali.

Niskie temperatury stwarzają perspektywę powstania chirurgii bez kropli krwi. Pod wpływem lodowatego dotyku specjalnie skonstruowanych narzędzi chore tkanki obumierają i odpadają. Krio chirurgia — pionierem jej w Polsce jest prof. Krwawicz z Lublina, który tą metodą zdejmuje katarakty z oczu — rokuje nawet pewne nadzieje pomyślniejszej operacji niektórych nowotworów.

Już słyszę okrzyki: proszę się nie wykręcać, a co z nieśmiertelnością? Proszę bardzo. O hibernacji czyli osiąganiu hipotermii, inaczej: obniżonej temperatury ciała do celów medycznych, na pewno każdy słyszał. Kiedyś przypuszczano, iż będzie to powszechna metoda, pozwalająca na bezpieczniejsze przeprowadzanie operacji. Ujawniły się jednak pewne niebezpieczeństwa i dzisiaj hibernację pacjentów stosuje się raczej tylko przy operacjach na mózgu, na sercu otwartym, w niektórych operacjach naczyniowych. Co nie znaczy, że hipotermia jako taka została skompromitowana. Przecież jest to właściwie sposób wymyślony przez samą naturę w postaci snu zimowego zwierząt leśnych. Obniżenie temperatury ciała, przyhamowanie obiegu krwi, a więc spowolnienie procesów organizmu, pozwala niedźwiedziom przetrwać uciążliwości zimy. W naszych nerwowych czasach wielu ludzi marzy o dłuższym lub krótszym pozostawaniu w takim hipotermicznym śnie, można by w ten sposób przetrzymać niektóre zmartwienia i niebezpieczeństwa. A gdyby uczonym udało się ożywiać zamrażane organizmy po wielu latach czy nawet wiekach, może spełniłoby się faustowskie marzenie o nieśmiertelności?

Ostatnio badacz japoński, prof. Isamu Suda z uniwersytetu w Kobe ożywił mózg kota po 203 dniach. Wyjęty mózg najpierw przemył, aby nie dopuścić do powstania w nim skrzepów krwi, wstrzyknął glicerynę, żeby uchronić tkankę przed niszczącym działaniem kryształków lodu, wreszcie zamroził w temperaturze minus 20 stopni. Po upływie niemal roku przepuścił krew o temperaturze 37 stop. C. Encefalogram wykazał niezbicie, że mózg żyje nadal. Suda twierdzi, że choć mózg umiera w 3 do 6 minut po przerwaniu dopływu krwi, można go utrzymać w stanie pozornej śmierci przez czas nieograniczony, jeśli się zastosuje głęboką hipotermię.

Więc może istotnie będziemy nieśmiertelni, jak przewiduje Rostand? Przed napisaniem niniejszego felietonu zrobiłem więc małą, prywatną ankietę wśród znajomych pt. „czy chciał(a) byś być nieśmiertelny(a)?" Jeśli założyć szczerość odpowiedzi, nikt nie chciał. Motywacje różne. Młody naukowiec powiedział z troską w głosie: „Czy wyobrażasz sobie, jaki by się zrobił tłok? Mój profesor, o ile go znam, zapewniłby sobie katedrę na całą wieczność, ja wobec tego był bym nieśmiertelnym adiunktem, młodsi koledzy pozostaliby asystentami i studentami na zawsze, a co w innych eternalnych katedrach i instytutach?" Było to oczywiste zawężenie problemu, choć dobrze odbijało konieczność ciągłą rotacji. Ale pomyślcie serio: już dziś robi się ciasno dokoła, uczeni łamią sobie głowy, co będziemy jedli, kiedy nas za 25 lat będzie 6 miliardów, niektórzy powiadają, że zostaną na planecie tylko miejsca stojące, jeżeli się szybko część z nas nie przeniesie w kosmos; inni uczeni twierdzą wprawdzie, że Ziemia może zmieścić i wyżywić 15 i nawet 50 miliardów, ale jest to na razie teoria, bo w praktyce już dzisiaj połowy z nas prawie nie żywi. A teraz wyobraźcie sobie, że spod ziemi wychodzą jeszcze odmrożeni nieboszczycy i też chcą jeść. Brrr... „Żołka, czas umierać, bo nas zdepczą" — w tym okrzyku przekornego felietonisty z „Pamiętnika oswojonego" brzmiała nuta melancholijnej, jeśli nie gorzkiej refleksji. Są teorie, że człowiek, jeśli wziąć pod uwagę jego resursy fizyczne, mógłby żyć dłużej. Jeśli umiera, to z osamotnienia; w pewnym momencie czyta coraz więcej znajomych nekrologów, a czy wyobrażacie sobie przerażającą pustkę, kiedy dokoła nie ma już ani jednej dawnej twarzy? Ożywszy po wiekach Leonardo (tym razem nie Gold, a da Vinci), zwariowałby prawdopodobnie na widok samochodu, nawet gdyby to był stary model „Warszawy". Pewna znajoma odpowiedziała mi ze smutkiem: „Mój drogi, co noc śnią mi się bliscy zmarli, którzy znajdują się w sąsiednim pokoju, a ja tam nie mogę wejść. Co to znaczy?"

Pamiętajcie, że chcąc osiągnąć nieśmiertelność, wchodzi się zawsze w pakty z diabłem, przed czym Was ostrzega

BELIAL

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY

SYGNAŁY

(Fragment książki pt. „Zielona Planeta")

Niespodzianie te wszystkie elektryczne urządzenia zabrzmiały jednym głosem: SOS... SOS... SOS... Ratujcie nasze dusze!...

Znów cisza. Cóż mogły znaczyć te sygnały? Lokalny Mózg przeprowadzał tysiączne kombinacje. Wyspa może być zatruta, może być podminowana. Dotkną nieopatrznie jakiegoś przedmiotu i wszystko wyleci w powietrze.

Te sygnały — pomyślał Rhan-Heliotrop — muszą mieć swoje głębokie znaczenie. Oznaczają przywołanie albo ostrzeżenie, może jakąś groźbę, może znak przyjaźni. Niebawem chyba dowiemy się o tym.

— Aby tylko nie była to groźba — dodał Rhaan-Chryzopraz. — W każdym razie jest to dzień zwycięski, wreszcie mamy coś konkretnego. Nasi uczeni do końca podróży będą fioletowi z zazdrości.

Przeprowadzili pomiary przy pomocy promieni radiowych. Ich sonda sięgnęła głęboko w głąb wyspy. Ujrzeli na ekranie ogromne, geometryczne zarysy jakiejś budowli. Mogły to być olbrzymie zbiorniki, baseny, jakieś schrony. Poczynając od trzydziestu metrów pod poziomem oceanu, sięgały dwustu metrów głębokości.

— Bracia — pomyślał Rhan-Heliotrop — znajdujemy się oto wobec największego zdarzenia w dziejach wszechświata. Przed nami dzieło wzniesione przez istoty inteligentne. O ile nam wiadomo, jedyne prócz nas w naszej mgławicy galaktycznej.

— Czy sądzisz, że istnieje tylko jedna, jakaś wielka i potężna istota na tej planecie? — nadał Rhoan-Turkus.

— Nie wiem — odmyślał Rhan-Heliotrop.

— Być może, tutaj znajduje się siedziba mózgu tej planety? — pytał dalej Rhoan-Turkus.

— Nonsens — zaprzeczył Rhan-Heliotrop. — Po co mózg ma tkwić nieruchomo na głębokości dwustu metrów.

— Można sobie wyobrazić — wtrącił się Rhaan-Chryzopraz — że to doskonała maszyna cybernetyczna. To jest uniwersalny sztuczny mózg, który siedzi tam i snuje swoje myśli od pół miliona lat.

— Któż go stworzył? — rzucił pytanie Rhan-Heliotrop.

— Sądzę, że tych, którzy go stworzyli tutaj nie ma — nadał Rhaan-Chryzopraz.

— Gdzież oni są?

— Możliwe, że opuścili tę planetę.

— Po cóż mieli tak czynić?

— Nie wiem. To jest tylko przypuszczenie.

— I nie pozostawili żadnych śladów, a ten ślad ich życia na tej wysepce tak starannie ukryli?

— Czy musieli koniecznie żyć na powierzchni? Mogli żyć w głębi, w gorącej magmie, jak Żagniwce.

— Cóż więc znaczy ta przedziwna figura, którą teraz Prazy umocowują na szczycie góry? Czy to nie jest wyobrażenie istoty tej planety? Czy tego rodzaju stworzenia mogłyby żyć we wnętrzu planety? Czy nie musiały one być typu węglowo-białkowego, skoro reszta przyrody tutaj jest tego typu? — rzucał pytania Rhoan-Turkus.

— Cierpliwości — pomyślał Rhan-Heliotrop. — Zaledwie godziny dzielą nas od rozwiązania tej tajemnicy.

W tej chwili niezwykle mocno i wyraźnie rozległ się w aparacie trzykrotnie sygnał: SOS... SOS... SOS...

— Oto jest odpowiedź — dodał Rhan-Heliotrop.

— Ba, gdybyśmy to mogli zrozumieć — rzucił Rhoan-Turkus.

— Mój zmysł telepatyczny — oświadczył Rhan-Heliotrop — mówi mi, że jest to wiadomość o jakimś niebezpieczeństwie.

— Pół miliona lat trwa niebezpieczeństwo? — zdziwił się Rhaan-Chryzopraz.

— Dla kogo niebezpieczeństwo? Kto jest w niebezpieczeństwie? — dodał Rhoan-Turkus. — To jest ostrzeżenie, przywołanie, czy groźba?

— Prawdopodobnie jest to znak porozumiewawczy — wyraził przypuszczenie Rhaan-Chryzopraz. — Nie wiemy przecież, czy w głębi stu innych wysp nie ma takich samych podziemnych budowli.

— Ach, ten obraz rozlewa się, rozpływa... tam jest jakieś promieniowanie — nadał Rhoan-Turkus, obserwując ekran. — Fala odskakuje od tego jak od neutritowej ściany.

— Może zastosować ultrafalową wirówkę? — zaproponował Rhaan-Chryzopraz.

— Nie — zaoponował Rhan-Heliotrop — jeśli to jest osłona neutritowa, to i tak wirówka nie przebije, a jeśli co innego, to może nastąpić jakieś niepowetowane uszkodzenie lub ulegną wyzwoleniu niszczące siły.

— Wątpię, czy istota nieznana pragnęłaby takiego wtargnięcia — pomyślał Rhoan-Turkus.

— Oczywiście — potwierdził Rhaan-Chryzopraz. — Nie ma mowy o jakimkolwiek gwałcie. Tam musi być przecież jakieś wejście.

— Sądząc z zarysu — oświadczył Rhoan-Turkus — wejście powinno się znajdować gdzieś w pobliżu zatoki.

Znajdowali się na szczycie góry. Czterdziestu Prazów pod wodzą „Pilo 001" i „Rhumrhu 010" wypaliło przejście od zatoki do szczytu; następnie przeniosło cokół i posąg. Wspaniała i groźna Nemezis płynęła na ich „ramionach" uważnie wpatrzona w niebo.

Uczeni obserwowali z rakiety jak Prazy przygotowały miejsce i ustawiły pomnik. Ogromny i nieruchomy górował nad wyspą i oceanem. Biała bogini z nieubłaganym uśmiechem spoglądała w słońce, wieczność i gwiazdy tropików. Na nowo wyzłocony błyszczał łaciński napis: „Nic nadto".

Był to pomnik oryginalny. Kopia pod eskortą kilku Prazów popłynęła w przestrzeń planetarną, gdzie na wysokości 100.000 kilometrów nad Ziemią spotkała się z uumicką rakietą kosmiczną „UHUM 1010", wzbudzając wśród uczonych nieopisaną wprost sensację. Na dodatek został im również okazany złoty pierścień Esperanty i Iraza z napisem „Usque ad finem". Wszyscy powstali z letargu i nikt nie kwapił się do odlotu, a na wiadomości z Ziemi oczekiwano z niecierpliwością.

— Nie mogę uwierzyć, aby to był obraz istot z tej planety — pomyślał Rhoan-Turkus przyglądając się pomnikowi.

— Dlaczego? — zapytał Rhaan-Chryzopraz.

— Żadna istota tych wymiarów i tej budowy nie mogłaby wytrzymać ani tutejszej temperatury, ani ciśnienia atmosfery, ani siły grawitacji.

— Cóż to więc jest?

— Ja wiem, co to jest — zapewnił Rhoan-Turkus. — To jest jakiś symbol, jakiś znak, jakaś przenośnia; prawdopodobnie jest to bóstwo, które nie musi być wcale podobne do mieszkańców tego globu. Jest to raczej jakiś ideał, abstrakcja.

— Ładne mają tutaj ideały — zabrzmiał falą elektromagnetyczną z przekąsem Rhaan-Chryzopraz.

Rakieta młodych uczonych wolno zlatywała w kierunku zatoki.

— Kilka rzeczy bardzo mnie intryguje — pomyślał Rhoan-Turkus. — Przede wszystkim jak się do nas ustosunkuje nieznana istota? Czy będzie sobie życzyła nawiązać z nami kontakt? Następnie, co uczynić, gdy się okaże, że jesteśmy bardziej od siebie różni, niż to może przewidzieć najbujniejsza fantazja? Jak dotąd nikt nas tutaj nie spotyka ani nie zaprasza. Czy w ogóle zapragnie nas poznać, czy może strzeli w nas piorunami?

— Sygnały mówią coś innego — oświadczył Rhan-Heliotrop.

— Skąd możemy wiedzieć, co mówią sygnały? — zapytał Rhaan-Chryzopraz.

— One nas wzywają.

— Nas?

— Nie, kogokolwiek ze wszechświata.

— Któż ze wszechświata zrozumie, co one głoszą?

— To jest zupełnie proste. Wzywają pomocy.

— Nie jestem tego pewien. Nie mam takiej intuicji.

— I co będzie, gdy się okaże, że nie chcą nas znać? — dodał Rhoan-Turkus.

— Uczynimy wszystko, aby ich o to zapytać, nie łamiąc ich woli.

— Tak — przyznał Rhaan-Chryzopraz — gdy będą wrogo usposobieni, to przecież jakoś zdołamy chyba to zrozumieć.

— I co wówczas? — zapytał Rhoan-Turkus.

— Nie wiem, chyba odlecimy.

— Po tylu milionach lat poszukiwań?

— Tak... zresztą o tym zadecyduje komandor i Rada Członów.

Dokładne pomiary i zdjęcia podziemnych budowli wykazały, że prowadzą do nich trzy wejścia: tuż przy ujściu zatoki, najłatwiej dostępne, następne w odległości 5 kilometrów, zupełnie zawalone głazami i porośnięte dżunglą, oraz trzecie na południu, zalane w tej chwili przez ocean i przykryte kilkunastometrową warstwą mułu.

Wejście od strony zatoki mogło kiedyś wychodzić na mały port. Odwieczna denudacja starła jednak rzeźbę terenu i zniszczyła wszelkie ślady. Wejście to również znajdowało się pod wodą, a cały brzeg w tym miejscu był pokryty dżunglą.

Prazy, kierowane przez uczonych, użyły dwóch gazowych sprężarek, które wyparły wodę z wybrzeża. Palniki pulsacyjne z promieniami podczerwonymi szybko wypaliły odpowiedni odcinek dżungli. W ich temperaturze wielkie drzewa podzwrotnikowe znikały bez śladu jak sny. Metalowy ekskawator, podobny do dżdżownicy, składający się z wielkiej ilości tętniących pierścieni, pogrążył się w mule i niebawem oczyścił drogę do wejścia.

Spod ziemi wynurzyły się potężne mury żelbetowe. Grubość ich w tym miejscu wynosiła 15 metrów. Tkwiły w nich niezbyt duże, ale niezmiernie grube wrota stalowe. Składały się one z trzech warstw segmentów wypełnionych niezmiernie twardą masą. Segmenty prawdopodobnie swego czasu otwierały się stopniowo. Dziś jednak części metalowe tak się sprzęgły ze sobą, że już niesposób było je rozdzielić.

Można było w tym wypadku użyć wibratora plazmowego, który wytwarzał temperaturę rzędu miliona stopni i mógł bez trudności cały ten potężny zawór zamienić w parę, jednakże Uumici, nie wiedząc, co się znajduje po drugiej stronie, nie chcieli nic niszczyć. Zastosowano pewną odmianę dezyntegratora atomowego. Przyrząd ten przy przejściu jakiegokolwiek ciała dowolnie rozszerzał odległości między atomami, a po przejściu sprowadzał atomy do poprzednich odległości. W ten sposób każde ciało materialne mogło przejść przez inne ciało, poddane działaniu dezyntegratora, po czym ciało to powracało do poprzedniego stanu.

Rhan-Heliotrop pierwszy przesunął się tą drogą przez drzwi i znalazł się w ogromnym pomieszczeniu, kolisto biegnącym w obydwie strony. Było ono wypełnione niezliczoną ilością zupełnie nieznanych i zagadkowych przedmiotów. Rhan-Heliotrop dłuższą chwilę przyglądał się im w zdumieniu i każdą swoją myśl przesyłał towarzyszom.

Przyszło mu do głowy, że w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa nie będzie mógł się stąd szybko wydostać. Zbadał więc konstrukcję drzwi i po stwierdzeniu, że nie potrafi ich otworzyć, powrócił do swych przyjaciół.

Prąd o napięciu pięciu milionów woltów w postaci cienkich, wibrujących wiązek podziurawił zaporę niby rzeszoto. Stal zamieniła się w proszek, a żelazobeton w pumpiół. Ruszyły Prazy i wybrały prochy. Dwa dziesiątki Prazów wpadły do środka na zwiady. Dopiero na sygnał bezpieczeństwa posunęli się naprzód uczeni.

WACŁAW MROZOWSKI

PRZYPOMNIENIE*)

* * *

W tym krajobrazie pastelowym
ziemi kieleckiej,
odkrywam, ciesząc się, świat nowy
jak bym był dzieckiem.

Oszczepy jodeł wbite pionem
w surowy błękit,
łączą szmat nieba z ziemi zagonem
uściskiem ręki.

Srebrem tatarki garby lite
na Radostowej,
zagony ciężkich kłosów żytem
chylą swe głowy.

Jak z trybularzy kadzidlanych
majowych nieszpór,
w parną przedwieczerz, chłodnym ranem
mgły ziemię pieszczą.

A kiedy nocy skrzydło krucze
swe pióra roni,
księżyc się sercem dzwonu tłucze
w Lubrzanki toni
i cisza wielka, przeraźliwa
milczeniem dzwoni.

I wtedy uczę się w tej ciszy
prastarej mowy,
którą w poszumach groźnych słyszę
Puszczy Jodłowej.

Pośród starych kamiennych zaułków
błądzę — Don Kichot tej ziemi.
Księżyc z woskowym czołem smutku
skrada się po rogach kamienic,
pobladły przystaje u Fary,
na Olejnej do okien zagląda,
na Bramie Trynitarskiej stanęły zegary —
Lublin nocą — śpiąca Gioconda.

W nadbystrzyckich mgłach o pięknie nuci, o złotych
września warkoczach,
gwiazdy leżą na dachach miedzianych jak monety na
umarłych oczach.

Na Ratuszu złowróżebne puszcze umilkły w niewybuchłej
ciszy.
Zatrzymaj się ze mną przechodniu. Pomilczmy obaj!
Słyszysz?

To było już dawno bardzo. Lecz czas nie zmyje goryczy,
do dziś syreny nad miastem zwiastują alarm lotniczy,

Tamtej dzwoniącej jesieni przybranej w kiry i tiule,
jak wdowa przez ćwierćwiecze chodząca w żałobie
po żniwach w huku blasków, oczyszczona bólem
świeżej, dymiącej ziemi na poety grobie.

Ciekawyś czemu błąkam się po tylu latach?
Tu przed każdym kamieniem moja młodość leży
razem z kośćmi przyjaciół rozsianymi na cmentarzach
świata
w mogiłach nieznanych poetów-żołnierzy.

Szukam ich dziś na próżno, samotnik zgubiony
z serca płonącym zniczem
i wiem, że bomba którą jutro zostanę trafiony
spopieli mnie z Czechowiczem
w czas żniw, huku, blasków, potopu, ciemności...

Tak umiera Don Kichot w objęciach Giocondy
z miłości...

*) 9 września 1939 r. w Lublinie zginął tragicznie podczas nalotu bombowców hitlerowskich wybitny poeta polski — Józef Czechowicz.

BOGDA MADEJ

Z redaktorskich wspomnień

Pozwolą Państwo, że swoje uwagi zacznę od pytania: Czy każdy z Czytelników orientuje się jak — (przepraszam za ten utarty zwrot) — „przed wojną" wydawało się niektóre czasopisma? Służę przykładem — „Mamy zatem te sto złotych; mamy tytuł i drukarnię, bo zdecydowaliśmy się na zakład „Kultura", którego właścicielem był M. J. Branfeld, ..., mamy przed sobą dwa miesiące letnie, aby wejść w kontakt z lubliniakami, zebrać materiały i odpowiednio przygotować numer pierwszy, który miał się ukazać we wrześniu. Musi być na dobrym poziomie, od startu bowiem zależy dalszy rozwój pisma". Teraz kilka słów wyjaśnień. „Mamy" — pod tym czasownikiem kryją się zaledwie dwie osoby: Kazimierz Jaworski, naczelny redaktor i Zenon Waśniewski, grafik, skarbnik, administrator i „wydawca". Tytuł — „Kamena", miesięcznik poetycki, od września 1933 roku wychodzący w Chełmie Lubelskim. Wspomniane sto złotych pochodziło z dobrowolnych składek grona profesorskiego tamtejszego Męskiego Seminarium Nauczycielskiego. Każdy następny numer był wielką niewiadomą, żadnych stałych dochodów, oprócz nieregularnych opłat za prenumeratę, pismo nie miało. Oczywiście o honorarium za zamieszczane w „Kamenie" utwory mowy być nie mogło. A jednak na przekór tym wszystkim trudnościom, mimo szykan ze strony kulturalnych kół Chełma, pismo ukazywało się co miesiąc. Należy podziwiać wydawców miesięcznika K. Jaworskiego i nieżyjącego już dzisiaj Z. Waśniewskiego za trud i przede wszystkim za ogromny entuzjazm, z jakim kontynuowali swoją pracę w małym mieście powiatowym liczącym trzydzieści tysięcy mieszkańców.

Wydawcy utrafili we właściwy moment; regularnie ukazywały się jedynie stałe pisma dużego formatu, a wobec milczenia „Skamandra" braku „Kwadrygi" i bardzo krótkiego żywota ukazujących się co pewien czas periodyków prowincjonalnych, mocno odczuwało się brak pisma czysto poetyckiego. „Kamena" przetrwała wszystkie groźne kryzysy i aż do tragicznego września 1939 r. była przysłowiową Mekką dla poetów. Autor wymienia w swojej książce wiele nazwisk pisarzy współpracujących z redakcją, obok poetów o ustalonej dziś randze artystycznej spotyka się też wiele nazwisk dzisiejszemu odbiorcy nieznanych. Często zamieszczali tam swoje utwory także początkujący „sezonowi" poeci. Z łodzian, w książce Jaworskiego znajdzie swoje nazwisko J. Koprowski, M. Piechal, J. Huszcza, autor wspomina także Grzegorza Timofiejewa. I jeżeli już jesteśmy przy sprawach łódzkich, trzeba podkreślić, że znalazła tutaj odbicie dość niechlubna dla naszego miasta uchwała Rady Miejskiej z marca 1935 r., która głosiła, że:... „odtąd nagroda literacka miasta Łodzi w wysokości 10.000 zł przyznana być może wyłącznie Polakowi — chrześcijaninowi, mogącemu wykazać swoje pochodzenie polskie i stanowi, że do jury, które ową nagrodę będzie przyznawało, zamiast delegata z żydowskiej i zmasonizowanej Wolnej Wszechnicy Łódzkiej, wejdzie delegat Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego". Oczywiście, Jaworski umieścił także odpowiednie fragmenty artykułu, jakim „Kamena" skomentowała wiadomość o łódzkich posunięciach. Książka obfituje zresztą w liczne fragmenty ciekawszych artykułów drukowanych w piśmie, umieszczone są także recenzje o „Kamenie" i to zarówno pochlebne, jak i krytyczne. Taki dobór materiału pozwala czytelnikowi na zorientowanie się jakie zasady i jaki program reprezentował miesięcznik. Odpowiednimi fragmentami autor ilustruje trzy założenia, którym redakcja przez cały czas starała się być wierna — „umiarkowany awangardyzm, lewicowość społeczna i polityczna oraz kulturalny słowianofilizm.

Smutne i gorzkie refleksje wypełniają ostatni rozdział poświęcony powojennej „Kamenie", która tylko przez pewien czas była kontynuatorką dawnych założeń i z biegiem czasu zmieniła zupełnie swoje oblicze, tak, że z dawnego pisma pozostał tylko tytuł.

W kręgu „Kameny" znajdowało się wielu ludzi. Niektórzy z nich to bliscy przyjaciele Jaworskiego, dzisiaj już nieżyjący T. Bocheński, J. Czechowicz czy Sergiusz Kułakowski. Niektórzy, dziś już zapomniani, zapomniana ich twórczość — oni właśnie doczekali się w książce pięknych portretów. Umieszczone w dodatkach wybrane listy do redakcji przypominają wiele postaci, czasem są nawet trochę niedyskretne w stosunku do uznanych dziś sław i gwiazd poetyckich. Bo wspomnienia Jaworskiego, mimo że są poświęcone jego „umiłowanej „Kamenie", to przede wszystkim przedstawiają nam ludzi, ich namiętności, słabości i twórczą działalność. Ale taka już natura wspomnień.

K. A. Jaworski — „W kręgu KAMENY"; Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1965, str. 378 + ilustr., cena zł 20.

DWIEŚCIE LAT PÓŹNIEJ

19 listopada 1765 roku nastąpiło otwarcie sceny narodowej. Na ten historyczny dzień wybrano komedię Józefa Bielawskiego pt. „Natręci", przerobioną — jak to było podcwczas w modzie i powszechnym obyczaju — z utworu Moliera „Le Facheux". Józef Bielawski był pisarzem płodnym, ale nie był pisarzem cenionym. W literackim świecie Warszawy pokpiwano z niego i szydzono, o czym dowodnie świadczy fraszka Kajetana Węgierskiego:

„Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedię napisze".

Do otwarcia Polskiej Sceny Narodowej przyczyniło się wielu ludzi, m. in. ks. Czartoryski, Bohomolec, a także, a może nawet przede wszystkim, miłośnik i mecenas sztuki — król Stanisław August Poniatowski. Było to wielkie wydarzenie w życiu kraju, o doniosłych skutkach, bowiem przez cały czas zaborów teatr polski był ostoją patriotyzmu, kuźnią postępowej myśli, szkołą obywatelstwa i uspołecznienia. Jest to specyficzny rys historii Polski, że w najciemniejszym okresie upadku państwa, rozpoczął się jednocześnie rozkwit życia teatralnego, rozkwit sztuki i literatury. Sytuację teatru w Polsce tamtych lat można porównać jedynie do sytuacji sceny serbskiej, która również rozwijała się i kształtowała pod zaborem, w danym wypadku — tureckim. Społeczeństwo pozbawione własnego samodzielnego państwa, wszystkie swoje ambicje i wysiłki kładło w kultywowanie sztuk, a osobliwie literatury i teatru. Co nas nie przestaje zdumiewać — to bezprzykładna ofiarność ludzka. Na teatr łożyli wszyscy — publiczność i aktorzy. Ze zbiórek społecznych budowano gmachy, na przykład gmach teatralny w Kaliszu, w którym grał i dyrektorował sam Wojciech Bogusławski. Tenże Bogusławski „utopił" w teatrze całą swoją fortunę, stał się golcem, ale to, co zrobił, zrosło się na wieki z jego imieniem. Bogusławski stanowi w dziejach sceny narodowej — całą epokę. Jeszcze dziś jesteśmy pełni podziwu dla niego, a nawet dopiero dziś możemy w pełni ocenić jego rozliczne talenty, zabiegi, pracowitość i przebiegłość, a wszystko jednemu poświęcone celowi — polskiej sztuce narodowej.

Piszę te słowa w dwieście lat później — w listopadzie 1965 roku. Przeminął teatr romantyczny, pozytywistyczny, naturalistyczny, modernistyczny. Przeminęła Młoda Polska, realizm i nadrealizm, symbolizm i konstruktywizm, formizm i awangardyzm. Zniknął typ aktora z własną garderobą w walizce, do przeszłości należą dekoracje na wszystkie okoliczności i na każdą sztukę: wolna okolica i wnętrze mieszkalne, przy pomocy których rozgrywano komedie i tragedie, farsy i wodewile. W dwieście lat później teatry są subsydiowane, aktorzy mają stałe gaże, występują w filmie i telewizji, a związki zawodowe pilnują ich interesów. Teatry rozwinęły się w prawdziwe kombinaty z własnymi stolarniami i modelarniami, z warsztatem krawieckim i szewskim, z zespołem technicznym i administracyjnym. Premiery nie odbywają się co tydzień jak za czasów Pawlikowskiego i Solskiego w Krakowie. Sufler, którego budka znajdowała się na honorowym miejscu sceny, widoczna z widowni i od kulis, nie jest najważniejszą postacią w teatrze, bo aktorzy mają dość czasu, aby nawet dużego tekstu nauczyć się dobrze na pamięć. Próby trwają długo, sztuki są czytane i analizowane po wielekroć, omawia się każdą postać i każdą sytuację, wzajemne powiązania występujących osób, konstruuje się ich biografie „przedsceniczne". Scenograf jest dziś w teatrze wielkim księciem: rysuje projekty dekoracji i kostiumów, zabudowuje scenę, włada nią, narzucając niekiedy swoją wizję również reżyserowi. Rozporządza malarzami i modelarzami, ma do pomocy wykonawców, o których nie mogli myśleć, ni marzyć ubodzy, dziewiętnastowieczni krzewiciele sztuki. Inscenizator wprowadza na scenę tłumy, organizuje bitwy, porusza wielkimi zespołami ludzi, nie bacząc na to, ile to będzie kosztować i jakie siły wprzęgnięte zostaną do realizacji jego pomysłów. Jedną scenkę, jedną sytuację ze sztuki powtarza on z aktorami dziesięć, dwadzieścia i więcej razy. Piastuje swoją wizję przedstawienia, pielęgnuje ją, buduje z dnia na dzień. Aktor zdoła opanować najbardziej nawet kobylastą rolę. Sufler pęta się za kulisami. Potrzebny jest w czasie prób, potrzebny i potem, ale stoi gdzieś w kącie, skromnie i jakby nieobecny, na wszelki wypadek, by w razie „sypki" aktora podrzucić mu odpowiednią kwestię. Wraz ze wzrostem i rozwojem techniki teatralnej, zmienia się i obyczaj, przepadają anegdoty, które odnajdujemy jedynie w starych zbiorach lub wspomnieniach.

Narodził się nowy teatr, nowy aktor, narodził się nowy dramat. Papież dramatopisarzy współczesnych, Eugeniusz Ionesco, w wydanej przez siebie książce w Paryżu, w której zebrał swoje wypowiedzi o sztuce, stara się dowieść, że osiągnęliśmy zenit niezdolności porozumienia się ludzi między sobą, że nastąpił kryzys słowa, że słowa się zużyły, wytarły, zautomatyzowały, że słowo trzeba wskrzesić, odrodzić, powołać do życia na nowo. Sukces sztuki współczesnej — twierdzi Ionesco — jest jej zamaskowaną klęską, bo ludzie tej sztuki nie rozumieją. Ale ta sztuka jest i będzie, bo nie jest ona wymysłem zwariowanych umysłów, lecz znamieniem epoki. Dawniej to było łatwo — mówi poeta — pisało się: spadł śnieg. Dziś nikt nie napisze: spadł śnieg. Nikt nie powie w dramacie: panie hrabio, nadszedł list do pana. Nie tylko dlatego, że nie ma hrabiów, ale i listy pisuje się coraz rzadziej. W dwieście lat później wszystko jest inaczej. A przecież interesuje nas to, co było dawniej. Czytamy, piszemy o tym, co było dawniej. Wzruszamy się tym, jak dawniej mówiono, pisano i grano. Szukamy źródeł, odkrywamy rzeczy nieznane, cieszymy się, ilekroć uda nam się zdobyć jakiś szczegół, poszerzający naszą wiedzę o przeszłości.

Naród istnieje wtedy, gdy ma terytorium, wspólny język, wspólne państwo. Ale cóż byłby wart naród bez historii, bez dziejów minionych? Dopiero przeszłość utwierdza naszą teraźniejszość, dopiero to, co było, warunkuje to, co jest. To, co jest w dwieście lat później, wynika z tego, co było dwieście lat przedtem. Dwieście lat przedtem narodził się Polski Teatr Narodowy.

Jan Koprowski

Z teki WACŁAWA KONDKA

Łódź — Pl. Dąbrowskiego.

półka z książkami

CIEKAWIEJ O AFRYCE

Kto wie, może nie jest tak źle, jak myślimy? Może nawet zbliża się renesans piśmiennictwa polskiej humanistycznej myśli naukowej, nowy jej rozkwit obfity w książki pisane w interesującej i pięknej formie? Może po latach książek-cegieł, książek — prasowanych trocin, wszystko wreszcie w tej dziedzinie zmieni się na lepsze?

Jeśli tak się stanie, wiele zawdzięczać będziemy Józefowi Chałasińskiemu. Proszę wybaczyć banalność porównania, ale książki tego wybitnego socjologa, proste, pamiętające o wadze komunikatywności, napisane ze świetnym warsztatem naukowym, na obfitej półce pokrewnych publikacji przywodzą mi na myśl młodą, elegancką kobietę, która zabłądziła na zebranie kongregacji świętej Zyty. Tyle porównań — i wracajmy do konkretów. Ostatnio nowa książka J. Chałasińskiego trafiła w ręce polskiego czytelnika bardzo głodnego rzetelnej wiedzy i rzetelnej informacji o współczesnym świecie. „Bliżej Afryki" — to obszerne studium socjologiczne współczesnego Czarnego Kontynentu opracowane wespół z Krystyną Chałasińską. Książka napisana jest podobną techniką co „Kultura Amerykańska" (maksimum faktów, minimum niesprawdzonych hipotez) tak szybko niegdyś rozkupiona. Mimo dość wysokiej ceny (75 zł) „Bliżej Afryki" na pewno nie będzie długo czekać na nabywcę. Oczywiście nie tylko ze względu na frapujący, egzotyczny temat. Również i dla świetnych doprawdy piór, szacunku dla inteligencji czytelnika, wreszcie i dla rzetelnej wiedzy i benedyktyńskiej pracy dokumentacyjnej, jaka z ponad pięciuset stronicowej, obficie ilustrowanej książki uczyniła bogatą encyklopedię wiedzy o współczesnej Afryce.

A wracając do początkowego wywodu. Jak to się czyta! Pierwszą cnotą tej książki jest jej czytelność — czy nawet czytelniczość. Proszę, przekonajcie się państwo sami, porównajcie kilka ostatnich książek polskich podróżników-reportażystów z „Bliżej Afryki", z tym naukowym przecież studium. Sami się przekonacie, kto w tym współzawodnictwie zwycięża.

S. M.

POCZCIWY „PAN FREDRO"

Jeśli na drugiej stronie znajdujemy o bohaterze opowieści takie zdania jak:

„Z uciechą obserwował perypetie wychowawców z Sewerynem. Cały smak lekcji, całą ich okrasę tworzyły sytuacje komiczne. Pławił się w nich z rozkoszą...

Na każdym rysunku młody Aleksander Fredro występował w kolistym płaszczu i z kitką chwiejącą się u kapelusza..."

to się łatwo domyślimy, że bohater niewątpliwie w przyszłości zostanie autorem komedii, a przed tem będzie żołnierzem, w tym wypadku napoleońskim.

Otóż Stefan Majchrowski, autor powieści biograficznej o Fredrze, wybrał bardzo konwencjonalny i łatwy sposób dla naszkicowania życia i literackich dziejów wielkiego pisarza, rejestruje fakty i okoliczności, niestety, nie siląc się na stworzenie jakiejś wyraźnej, choćby i polemicznej, własnej wizji.

Fakty i okoliczności zebrano skrzętnie i pracowicie, podając je w krótkich na ogół zdaniach, rzadko spotykamy się na kartach dość obszernej książki z rozwiniętym opisem. Rozmaita bywa lapidarność, ta na przykład nie ożywia tak przecież interesującego tematu, który mógłby dopiero nabrać barw na kanwie tych faktów i okoliczności, podanych przez Stefana Majchrowskiego, dopiero ich interpretacja narzuciłaby czytelnikowi jakieś sugestie.

Dziwi zbyt częste powoływanie się na wiersze Fredry, które w porównaniu z dorobkiem komediowym nie należą do wymownej i dobrej poezji.

Wizerunek poczciwego i sympatycznego szlachciury — to w wypadku naszego wielkiego pisarza, którego dawno i słusznie krytyka pozbawiła epitetu „polskiego Moliera", doszukując się w jego twórczości czegoś znacznie więcej, oznacza zubożenie.

Pretensji nie zmniejsza i fakt, że Wydawnictwo na skrzydełku obwoluty poleca książkę „zwłaszcza dla młodzieży licealnej".

Czyta się ją łatwo, nawet z przyjemnością, ale co z tego?

J. H.

Stefan Majchrowski: Pan Fredro. LSW. Warszawa 1965, str. 326, Cena zł 24.

„APASJONATA"

Jest rok 1944, armia hitlerowska i walcząca u jej boku armia węgierska są w odwrocie. Na całym froncie trwa napór wojsk radzieckich. Rząd węgierski, który stracił w tej wojnie wielu ludzi i zaczął tracić coraz większe terytorium, zdecydował się opuścić dotychczasowego sojusznika. Nie przyszło mu to z trudem, zważywszy, że tradycje walk z naporem germańskim były w tym kraju jeszcze żywe. Jeden z oficerów liniowej jednostki węgierskiej został wezwany nagle do sztabu, gdzie oznajmiono mu, że ma wraz z oddziałem przejść na stronę radziecką. Oficer ten jednak, który od lat przebywał na froncie, podejmuje inną decyzję. Po zlikwidowaniu niebezpieczeństwa jakie groziło żołnierzom ze strony faszystowskiego oficera przebywającego w oddziale, przygotowuje żołnierzy do przejścia na drugą stronę frontu, sam zaś pozostawia w towarzystwie kilku żołnierzy opuścić front, by przeczekać resztę wojny w cywilu. Po wielu perypetiach udaje im się dostać w bezpieczne miejsce — do klasztoru.

Autor nie pokazuje nam rezultatu walki ostatecznej, która ma zadecydować o losie uciekinierów, mających już dość walki, dość frontu ze wszystkimi jego niebezpieczeństwami i trudami. Po prostu stawia on tylko problem, pokazuje zależność egzystencji jednostki od losów zbiorowości, niemożliwość ucieczki współczesnego człowieka od rzeczywistości, w której wypadło mu żyć. Prawda jest okrutna, na miarę okrucieństwa naszych czasów. Aby ją objawić autor nie posługuje się dyskursem, wynika ona z tego co nam autor mówi o losie bohaterów powieści. Powieść jest napisana po mistrzowsku. W dobie sporów o formę współczesnej prozy jest to jeszcze jedna interesująca propozycja.

JHW.

Lajosz Szilwasni: „Apasjonata". Wyd. MON. Warszawa 1965, str. 450, cena 30 zł.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Kazimierz Dębnicki — KRZYK PRZEZ SEN, Czytelnik, cena zł 18.—

Józef Ignacy Kraszewski — HISTORIA KOŁKA W PŁOCIE, LSW, cena zł 10.—

Ludwik B. Grzeniewski — WARSZAWA W „LALCE" PRUSA, PIW, cena zł 23.—

Tadeusz Milewski — JĘZYKOZNAWSTWO, PWN, cena zł 32.—

Józef Bińczak — ŚWIĘTO LUDOWE 1904-1964, LSW, cena zł 12.—

KRYSTYNA WOJTASIK

„LATO W NOHANT"

Jest to lato w tej konfiguracji ostatnie. Wiosną roku następnego, tj. 1847, następuje ostateczne zerwanie między Szopenem a George Sand, spowodowane pośrednio małżeństwem Solange z kirasjerem-rzeźbiarzem Clesingerem, którego Szopen „nie znosił" (wg wyrażenia George Sand) i małżeństwu temu był zdecydowanie przeciwny, a bezpośrednio — ostrym konfliktem między matką i ciężarną już córką, w którym to sporze, noszącym wszelkie cechy „przepędzenia" i wydziedziczenia, Szopen stanął po stronie córki. „Wybrał" — jak określiła to pisarka swoim patetycznym stylem w ostatnim liście do Szopena. Poza tym, po prawie 10 latach, mieli już siebie oboje dosyć.

Jarosław Iwaszkiewicz ściągnął powyższe wypadki w 3 akty swojej sztuki każąc im się dziać w okresie owego lata, w uroczym Nohant (do którego Szopen nigdy już nie miał powrócić) tym samym spiętrzając szokujące dla widza sytuacje i zagęszczając atmosferę nieomal do wymiarów skandalu. Nie unikając drastyczności, a przeciwnie, wykorzystując ją jako jeden z głównych składników efektów dramaturgicznych swej sztuki, zdołał Iwaszkiewicz osiągnąć efekt najważniejszy — w scenie finałowej swoistą amoralność środowiska uświęcić i przesłonić muzyką Szopena. To właśnie tak, jakby opadała zasłona pozostawiając tylko piękno. W ten przede wszystkim sposób Szopen stał się głównym bohaterem dramatu.

Na Małej Scenie Teatru Nowego owa scena finałowa została mocno podkreślona przez reżysera, stając się tym samym apoteozą twórczości i postaci „muzycznego geniusza". Wypadło to odrobinę melodramatycznie (czego uniknął autor), ale niewątpliwie wzruszająco. Odsłoniło jakby osobisty a serdeczny stosunek realizatora do bohatera utworu.

Z ową apoteozą, z pewnością odrealniającą spektakl, korespondowały dekoracje Iwony Zaborowskiej, jako tło — utkane z obłoków gazy, spośród których, dzięki efektom świetlnym (na początku spektaklu i w finale) wyłaniały się sylwetki polskich wierzb płaczących.

Przekazanie publiczności teatralnej postaci historycznej, do tego powszechnie znanej i wielbionej, stanowi niebezpieczeństwo zarówno dla dramaturga jak i dla aktora. Publiczność bowiem domaga się prawdy i na pewno ma rację. Postać Szopena stworzona przez Iwaszkiewicza jest prawdziwa. Mimo to, a może właśnie dlatego, pozostawia aktorowi możliwość wyboru interpretacji. Tradycja sceniczna (znana mi) „Lata w Nohant" ustaliła raczej sylwetkę „zgaszonego" melancholika, udręczonego chorobą artysty, obojętnego wobec otoczenia i codzienności. I tradycja ta, w oparciu o kilka kwestii George Sand w sztuce, mówiących właśnie o owej irytującej obojętności, „dyskrecji", odseparowaniu się psychicznym Szopena, wydaje się słuszna. Z drugiej jednak strony mamy w tejże samej sztuce scenę brutalnego niemal wyrwania Wodzińskiemu przez Szopena listu od siostry hrabiego oraz awanturę o pulardę. Mamy poza tym listy George Sand, w których pisze o swym wielkim kochanku: „Jest niecierpliwy w drobiazgach", „Bezczynność nie godzi się z jego ruchliwym i nerwowym usposobieniem", „Pracowałam nad tym powoli, aby więzy naszej przyjaźni przestały być więzami i aby to stało się bez wstrząsów. Lecz z istotą tak nerwową jak on, z charakterem tak dziwnym, tak nieszczęśliwym (choć szlachetnym) nie było na to sposobu...", „Jestem męczennicą!" — wykrzykuje w innym miejscu.

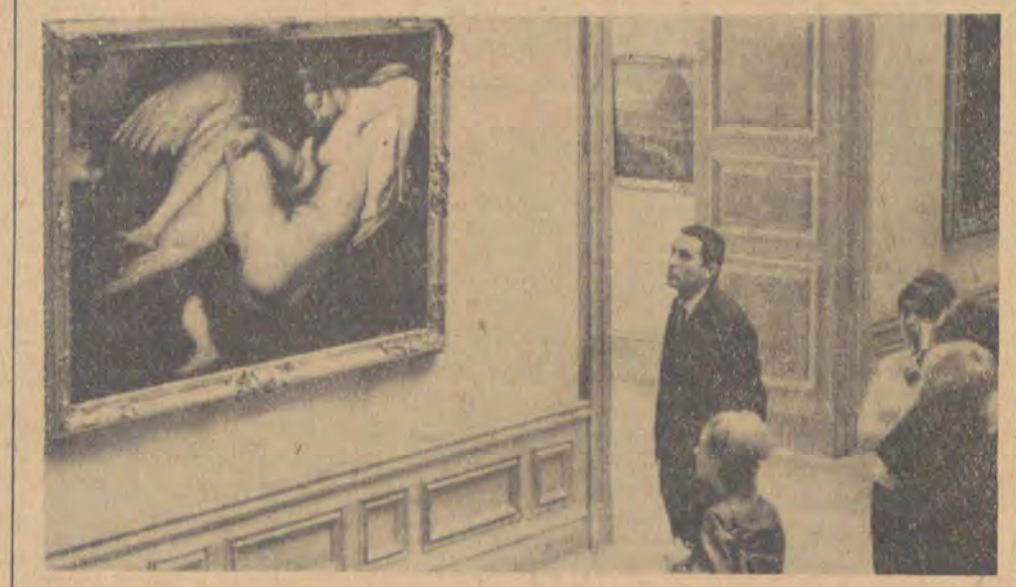

Fot. W. Paryś

Nerwowość Szopena w interpretacji Jana Zdrojewskiego graniczy prawie z histerią. Wybucha, kaprysi, żąda m. in. pakowania nut przez Wodzińskiego, które sam rozrzuca, a co w tym kontekście — po odebraniu postaci atrybutu ogromnej słabości fizycznej — staje się niesympatycznym despotyzmem i lekceważeniem rodaka. (W podobny nieco sposób, chociaż grzeczniej wysługiwał się zresztą Julianem Fontanną w rzeczywistości). Szopen Zdrojewskiego, w przeciwieństwie do wspomnianej tradycji, jest „gorący", wre w nim oburzenie, gdy mówi o Clesingerze, kipi dawna namiętność, gdy wspomina miłość, zarówno do Marii Wodzińskiej, jak i do George Sand przemienioną teraz w nienawiść. W ten sposób aktor „odbrązowił" jakby Szopena stając się może bliższym prawdy swego pierwowzoru. Umiał zapanować nad otoczeniem, inni stali się tłem. Jednak histeryczna nerwowość razi nieco widza (zwłaszcza nieopanowane rozbieganie oczu) a brakuje mu w postaci bohatera tego, co było ogromnie ważne — choroby fizycznej, cierpienia od lat dręczącego i wyczerpującego organizm artysty, a mającego spowodować w ciągu 3 nadchodzących lat jego śmierć. Specyficznych oznak fizycznej słabości nie naszkicował aktor choćby delikatnymi kreskami.

Hannie Bedryńskiej, jako George Sand, dostawało, oczywiście, temperamentu i uroku francuskiej pisarki, zabrakło jednak owych cech władczej „męskości", w które przystroiła ją legenda. Bardzo krótko noszona „amazonka" okazała się tu nie wystarczająca. Również nieco zbyt powściągliwie przekazała aktorka zaślepioną miłość matki do syna, cynika i egoisty (trafnie obsadzony w roli Maurycego Andrzej May) i nie w pełni ujawniła tłumione uczucia niechęci do córki. Solange w interpretacji Wandy Chwiałkowskiej była bardzo świeża, bardzo (może nadto) dziewczęca, trochę kapryśna i nieszczęśliwa, ale wykonaniu zabrakło owej nutki tragizmu, która potrafi naelektryzować tę rolę przejmującym dreszczem. Może zawinił tu trochę i Clesinger, prawie zupełnie zapominając o przyznanym sobie atrybucie sierżanckich manier i brutalności atlety, doskonały zresztą w sylwetce i, mimo wszystko, mocno zaznaczający swą obecność na scenie, Eugeniusz Kamiński. Przecież ci dwaj mężczyźni, Szopen i Clesinger, najważniejsi w życiu Solange, stanowią całkowite przeciwieństwo. I może na tym polega jej dramat?

Trafnie zarysowali postacie Rozjerki, Jana i malarza Rousseau: Marta Szczepaniak, Bolesław Bolkowski i Stanisław Szymczyk. Antoniemu Wodzińskiemu w wykonaniu Zbigniewa Józefowicza, poczciwemu karciarzowi nie dostawało może trochę arystokratycznego poloru, bo przecież ostatecznie był hrabią i do tego polskim. A polskość, oczywiście w zupełnie innym aspekcie, jest w tej sztuce o Szopenie czynnikiem bardzo ważnym.

Państwowy Teatr Nowy — Mała Sala: „Lato w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza. Reżyseria — Bohdan Poręba, scenografia — Iwona Zaborowska. Sonatę h-moll Fryderyka Szopena gra Zbigniew Szymonowicz.

KRONIKA Antytelewizyjna

POEZJA I PIOSENKA

Ze względu na chorobę jednego z wykonawców odwołano „Dni Turbinych" Bułhakowa. Znalazły się w programie bieżącego tygodnia. W zamian otrzymaliśmy balet z samą Mają Plisiecką. Było to efektowne widowisko, szkoda, że filmowcy przekazali nam je po staroświecku: z kurtyną, z oklaskami widowni. Ta „fotograficzność" raczej przeszkadzała. Usłyszeliśmy również Szekspira w wykonaniu Adama Hanuszkiewicza (monologi Hamleta) i Władysława Krasnowieckiego (sonety). Mądra poezja, stosowna inscenizacja, słowo dobrze docierające.

To samo „Studio 63" umożliwiło wysłuchanie wierszy poetów radzieckich, kładąc nacisk na utwory młodszych jak Andriej Wozniesienski (ur. 1933), Bułat Okudżawa (ur. 1924), Jewgienij Jewtuszenko (ur. 1933). Skromna, ale właśnie pomysłowa oprawa, urozmaicony dobór tekstów. Usłyszeliśmy wiersze godnie reprezentujące tradycje rosyjskiej poezji obywatelskiej, związanej z istotnymi sprawami, wiersze nieraz jakże gorzkie, jak choćby utwór Borysa Słuckiego o Stalinie. Szkoda, iż nadano je, jak na dzień powszedni, tak późno i nie wszyscy zapewne mieli możność wysłuchania. Ich wykonanie było zbyt monotonne aczkolwiek recytowali mistrzowie. Dlaczego? Myślę, iż przyzwyczajono się do naszej poezji współczesnej — ściszonej i cokolwiek bezpostaciowej, amorficznej. Wykonaniu wierszy rosyjskich przydałoby się większe zróżnicowanie tonacji, silniejsza ekspresja. Ale i tak program zasługuje na powtórzenie.

Udało się ostatnie spotkanie „ośmiu sprawiedliwych" z mieszkańcami Wałbrzycha. To nic, że niektórzy wypowiadali się z trudem — przecież i liczni zawodowcy z telewizji nie grzeszą dobrą dykcją, poprawnym formułowaniem zdań. Mieliśmy jednak parę ładnych wypowiedzi. Inna rzecz, że Wałbrzych to duże miasto o bogatej problematyce, a jego mieszkańcy to mozaika przybyszów z rozmaitych stron. Można było więcej znaleźć piosenek choćby wśród repatriantów z Wileńszczyzny, wśród dawnych lwowiaków, wśród Polaków francuskich. Osobiście ucieszyłem się z możności usłyszenia rzetelnego poety Mariana Jachimowicza. Kiedyś opowiadał mi, że w ciągu jakichś piętnastu lat ani razu do niego, mieszkańca miasta, nie zwrócono się z prośbą o wieczór autorski. Tak wygląda sytuacja ludzi skromnych, nikomu się nie narzucających. No, i jest to zgodne z przysłowiem, iż nikt nie jest prorokiem we własnym kraju... mieście... okolicy.

Miłośnikom opery wypada pogratulować audycji „Warszawska premiera", opracowanej i prowadzonej przez J. Waldorffa, ilustrowanej głosami znakomitych śpiewaków. Zresztą wszyscy jesteśmy nadal spragnieni dokumentacji z przeszłości, o którą w naszych warunkach trudno, o którą w dodatku nie zawsze dbaliśmy po wojnie. Spróbujcie znaleźć komplet lubelskiej „Rzeczypospolitej" z 1944 roku! Wiele także słyszało się na temat „troskliwości" względem płyt i taśmy magnetofonowej z głosami poetów i pisarzy.

„Śpiewki stare, ale jare" miały być wedle gazetowego programu śpiewkami rosyjskimi, ukraińskimi i białoruskimi. Informacja była nieścisła, usłyszeliśmy tylko rosyjskie. Oczywiście, wypadło to pełniej, bo jest z czego wybierać. Warto jednak, jeśli to była obietnica a nie pomyłka informacyjna, pomyśleć również o zaprezentowaniu folkloru naszych najbliższych sąsiadów wschodnich.

W wypadku piosenek osłabiają wrażenie przekłady, wymogi melodii nieraz zmuszają do nadmiernej dowolności tekstowej. „Brodiaga" na przykład to nie tułacz. Piosenki wypadły kulturalnie, choć oczywiście aktorzy dramatyczni większy nacisk kładli na inne momenty interpretacyjne niż popisy głosowe.

I wreszcie „spotkanie z aktorem", tym razem z Zofią Mrozowską. Jedno z bardziej udanych spotkań ze względu na to, iż ograniczenie się do fragmentów z jednego tylko utworu niemal naszkicowało jego zawartość. Jak zawsze towarzyszyła temu treściwa i rzeczowa charakterystyka Juliusza Kydryńskiego.

Mając na myśli łódzkie lata Zofii Mrozowskiej, pisałem gdzie indziej „o lirycznym sposobie interpretowania postaci". Musiałbym teraz to ubogie określenie uzupełnić przynajmniej jeszcze jednym przymiotnikiem. A więc powiedzmy o liryczno-analitycznym sposobie.

Gdyby kiedykolwiek wybierano mistera TV, to bez wahania głosowałbym na autora pogadanek o architekturze, dr Wiktora Zina z Krakowa. Jak mu służy słowo i ręka z węglem! Po prostu, poeta w swoim rodzaju.

Jan Huszcza

Na naszej okładce: pani Bogumiła Wander nowa spikerka Telewizji Łódzkiej.
Uwaga: w tle — mąż!

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„Wolę niesprawiedliwość niż nieład" — powiedział Goethe. André Cayatte podjął polemikę artystyczną z tą maksymą. „Nie zgadzam się z takim poglądem i spróbowałem pokazać, jak bardzo jest błędny. Zdarza się często, że rozwiązania zrodzone z tak zwanego „zdrowego rozsądku" są w rzeczywistości podłością prowadzącą do chaosu...". Do tej autorskiej wypowiedzi należałoby dodać: rozwiązania zrodzone z tak zwanego „zdrowego rozsądku" a usankcjonowane przepisami prawnymi i sądową tradycją. Zrealizowany ostatnio przez André Cayatte'a film „MIECZ I WAGA" obraca się bowiem wokół problemu sprawiedliwości lub raczej bezradności prawa z jego kodeksami, paragrafami, armią pracowników śledczych, sędziami i przysięgłymi wobec popełnionej zbrodni. Wiadomo, że sprawcami morderstwa byli dwaj mężczyźni. Ujęto wszakże i aresztowano trzech. Poszlaki i podejrzenia obciążają w jednakowej mierze każdego z nich. Z tych trojga ludzi jeden jest niewinny. Który? Każdy z aresztowanych twierdzi konsekwentnie: ja. Opinia publiczna domaga się sprawiedliwości. Sprawa staje na wokandzie. I oto rodzi się dylemat: czy skazać wszystkich trzech, a więc także i niewinnego, czy też wszystkich ich uniewinnić wiedząc, że na wolność wyjdą także mordercy? Niełatwy to do rozwiązania problem. I nie łudźmy się: mimo że usłyszymy pod koniec filmu słowa wyroku, nie zwalnia to nas, widzów, od rozwiązania we własnym zakresie, według swojego sumienia i zapatrywań na sprawy moralne tego dylematu.

„Miecz i waga" to film kryminalny najwyższej klasy. André Cayatte — twórca znakomitych filmów tego gatunku („Wszyscy jesteśmy mordercami" i „Sprawiedliwości stało się zadość") i tym razem dał dowód wielkiego talentu. „Miecz i waga" z całą pewnością należy do czołówki światowej w obrębie filmu sensacyjnego.

„LAMPART" Luchino Viscontiego zdobył w 1963 roku Złotą Palmę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes. Wkrótce potem nieliczni szczęśliwcy oglądali go w Polsce w ramach Festiwalu Festiwali Filmowych. Tak się, niestety, złożyło, że ja do nich nie należałam. „Lampart" stał się już wtedy głośny — pisano o nim u nas, mówiono. Sprowokowana zainteresowaniem, jakie wzbudził film, sięgnęłam po powieść, której był adaptacją. Powieść Giuseppe Tomasi di Lampedusy tłumaczona na kilkanaście języków zasłynęła parę lat temu jako faworytny bestseller. Ta doskonała literatura wzbudziła od razu zainteresowanie filmowców. Producent, który nabył prawa adaptacji „Lamparta" zaprosił do pracy nad nim Viscontiego. W ten sposób realizacją filmu o księciu Salinie i jego bliskich — świetnej arystokratycznej familii sycylijskiej — zajął się reżyser wielkiej miary a pochodzący właśnie z arystokratycznego rodu włoskiego. Toteż tradycje, których przekaźnikiem jest „Lampart" są w jakiejś mierze jego własnymi tradycjami. Może dlatego „Lampart" posiada dar magnetycznego przyciągania widza, absorbowania go bez reszty — czuje się bowiem historyczną prawdę tego filmu, wierzy bez zastrzeżeń w autentyzm nie tyle samych pokazanych ludzi, bo ci są literacką fikcją, co ich spraw zrodzonych z ducha tamtych czasów. Dzieje sprzed stu lat odtworzono tu z wyjątkową troską o realia. Każdy, nawet najdrobniejszy szczegół oprawy jest tu ukazany z wielkim pietyzmem. Równocześnie — rzadko zdarza się widzieć na szerokim ekranie kadry tak pięknie skomponowane plastycznie, jak właśnie w tym filmie. Widzów rozkochanych w plastyce czeka tu prawdziwa uczta dla oczu. Wspaniałe wykorzystanie barwy, oszczędność i precyzja w ruchach — postaci i kamery. Ani jeden gest, ani jedno drgnienie kamery nie jest tu niepotrzebne. Wytrawne oko i ręka operatora doskonale kieruje naszym sposobem oglądania. Ten film zmusza do kontemplacji, urzeka pod względem plastycznym. A równocześnie jest bardzo „literacki". Dużo w nim rozmów, dysput przeniesionych wprost z powieści. Z ekranu przemawia do nas piękny język. Słowa, które padają, niosą głęboką treść. Dla tematu i spraw z nim związanych one są najważniejsze. Ich literackość pasuje do tych arystokratów, zwłaszcza mądrego, wspaniałego księcia Fabrizia Salinę. Burt Lancaster odsłonił tu swoje nowe oblicze aktorskie. To jego życiowa rola. Stworzył postać pełną niekłamanej dystynkcji, szlachetności, wrażliwości. Świetni są także Alain Delon jako Tancredi i Claudia Cardinale w roli Angeliki. Oni, a także i odtwórcy ról drugoplanowych zafascynowani zostali psychiką granych przez siebie bohaterów. I dlatego ich postaci tak pełne są ekspresji, tak ujmujące i przekonywające.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ZACZYNA SIĘ SEZON NAGRÓD

Wielka nagroda za powieść policyjną została przyznana jednogłośnie pisarzowi André Monnier za powieść „Cios krogulca" (Editeurs Francais Reunis). Natomiast Komitet Zrzeszenia krytyków literackich uznał za najlepsze książki w trzecim kwartale 1965 roku: „Adorację" Jana Borela, „Koń Herbeleau" Jana Hussona, „Azja w ogniu" Makhali-Phala, „Autobiografię" Johna Cowpera-Pawysa i „Jutro nie dla ludzi" Johna Quigleya.

SZALONY LOTNIK

W Paryżu został otwarty salon obejmujący prehistorię awiacji, rodzaj muzeum w obrazach, gdzie jako dinozaurów eksponuje się przodków dzisiejszych Caravelli, Boeingów i Tupolewych, niezwykłą kolekcję aeroplanów o pociesznym i żenującym wyglądzie owadów z ich

delikatnym uskrzydleniem ważek, które miały urzeczywistnić najdawniejsze marzenia człowieka. Rok 1910, pierwsze współzawodnictwo narodów w powietrzu, przelot nad Kanałem La Manche z Paryża do Londynu w ciągu dwudziestu pięciu godzin, rekord szybkości!

„DON JUAN W PIEKLE"

Z powodu premiery sztuki Bernarda Shawa „Don Juan w piekle" w Théâtre de la Madeleine w Paryżu znakomity pisarz André Maurois wspomina o niej jako o młodzieńczym pomyśle autorskim Shawa, zrealizowanym w wieku dojrzałym. W roku 1903 wystawiono w Londynie sztukę Shawa „Człowiek i nadczłowiek"; były to wariacje na temat don Juana, których tekst drukowany różnił się od tekstu na scenie między innymi tym, że sztuka była za długa na jeden spektakl, wobec czego skrócono ją o jeden akt, obejmujący właśnie „Don Juana w piekle". Ale ten akt w czytaniu wydał się autorowi „Klimatów" szczególnie interesujący. Dialog był inteligentny, błyskotliwy, głęboki. Maurois marzył o tym, aby go przetłumaczyć. Ale kim był wówczas nieznany osiemnastoletni przyszły autor „Klimatów" bez wydawcy i stosunków! I oto, w sześćdziesiąt dwa lata później ku wielkiej radości Maurois zwrócono się do niego, aby podjął się adaptacji „Don Juana w piekle" dla sceny francuskiej. Jakim cudem ludzie teatru wpadli na ten pomysł? Otóż, parę lat temu trójka sławnych aktorów: Charles Boyer, Charles Laughton i Constance Collier powzięli myśl, żeby zagrać „Don Juna" tak jak śpiewa się oratorium, a więc, na estradzie, w wieczorowych strojach i przy pulpitach. Pomysł „chwycił". Sukces oszałamiający! Po Nowym Jorku wszystkie większe miasta amerykańskie, teatry i uniwersytety brały sztukę na warsztat. Taki sam sukces w Londynie. Świetny reżyser francuski Raymond Gérome widział „Don Juana" w Nowym Jorku i zwrócił się do Maurois o adaptację. W sztuce występują cztery osoby: Diabeł, Don Juan, Komandor i Donna Anna. Shaw, jak wiadomo, jest antysentymentalny. Piekło, które opisuje wybrukowane jest nie tyle dobrymi chęciami, ile — pięknymi uczuciami. Diabeł Shawa jest czcigodnym hipokrytą, kulturalnym starszym panem. Można, ostatecznie, znieść diabła-okrutnika, ale Diabeł dobrze myślący, ckliwy i esteta jest przecież nie do zniesienia! Don Juan, zesłany do piekła, nudzi się tam niemożliwie. Piekło, mówi, to gniazdo irrealizmu, podczas gdy w niebie przebywają mistrzowie realizmu. Sam, jako realista, pragnie opuścić piekło i przenieść się do nieba. Przeciwnie Komandor, stary militarysta, nudzi się w niebie i wzdycha do piekła. Co do Donny Anny, zdawałoby się, że jest ona obrończynią miłości sentymentalnej, ale kobiety są wszak z natury realistkami, ich celem jest przedłużanie udoskonalonego rodzaju ludzkiego i produkcja nadludzi, dlatego to one przejmują inicjatywę w miłości. Na ziemi biedny Don Juan jest ofiarą i zdobyczą kobiet, a nie — ich uwodzicielem. Gdy ląduje w niebie odmawiając zabrania ze sobą Donny Anny, nieszczęsna zrozpaczona, sfrustrowana kobieta woła: „Ojca! Ojca dla nadczłowieka!"

SIMONOW W PARYŻU

Sprawozdawca „Les Lettres Francaises" w wywiadzie z przebywającym w Paryżu Konstantym Simonowem zadał pisarzowi radzieckiemu pytanie, czy od „Dni i nocy" opublikowanych w czasie wojny istnieje w pracy Simonowa ciągłość („continuité)? Autor odpowiedział, że „Dnie i noce" były rezultatem jego pracy korespondenta wojennego. Od tamtego czasu upłynęło jedenaście lat, zanim przystąpił do pisania „Żywych i martwych", a szesnaście, zanim pierwszy tom ukazał się w druku. Co do „Dziennika" (wojennego), to Simonow robił notatki od dnia wybuchu wojny; były to notatki na marginesie tych, które redagował w charakterze korespondenta wojennego, korzystając z dwóch tygodni, w czasie których przebywał w Moskwie w 1942 roku zaczął rozwijać i uzupełniać — swoje „marginesowe" notatki. Wyrażają one treść jego refleksji, tak, jak powstawały one na wiosnę 1942 roku. Simonow zamierza je opublikować w dwudziestopięciolecie rozpętania wojny przez najazd hitlerowski na Związek Radziecki, ale — z dodaniem komentarza współczesnego do tamtych myśli z czasu wojny. Praca ta postępuje równocześnie z pracą nad ostatnim tomem „Żywych i martwych". Rozmówca pisarza zauważył, że w tej ostatniej powieści uderza wysiłek do wyrażenia prawdy o wojnie, na co Simonow odrzekł, że starał się dotrzeć do istoty rzeczy. „Czy publiczność radziecka nie jest zaskoczona sposobem, w jaki „Żywi i martwi" zrywają z idealizacją charakterystyczną dla wielu poprzednich powieści o wojnie?" padło pytanie z ust przedstawiciela „Les Lettres Francaises". Odpowiedź pisarza brzmiała „Żywi i martwi" zostali bardzo dobrze przyjęci. Ponieważ zaś obecnie publikuje się dużo na temat minionej wojny, a więc, moja powieść nie mogła być zaskoczeniem".

TRISTAN TZARA

Francuski tłumacz Tristana Tzary opublikował w tłumaczeniu francuskim swe rumuńskie „Pierwsze poematy" z 1943 roku. W związku z tym warto przypomnieć, że Tzara urodził się w 1896 roku, zmarł w 1963 roku i był inicjatorem awangardowego ruchu poetyckiego o nazwie — Dada. Tzara odegrał poważną rolę w procesie przekształcania się dadaizmu w nadrealizm. Z tego drugiego okresu pozostała jedyna udana i poważna próba epickiego poematu nadrealistycznego Tzary „Człowiek w przybliżeniu".

SEZON MUZYCZNY W NOWYM JORKU

Jeszcze nie zapadła decyzja, czy „stara" Metropolitan Opera zostanie przeznaczona na Muzeum Historii Muzyki. W każdym razie na przyszłą jesień przewiduje się otwarcie nowego gmachu opery na Lincoln Centern. Pomimo przeprowadzki do nowego gmachu, repertuar zostanie utrzymany w tradycyjnym duchu i będzie się składał z bieżących oper, w których na dwieście pięć przedstawień, więcej niż 63 procent miejsc zajmą Puccini, Donizetti, Giordano i Rossini. Muzyczna publiczność amerykańska pod jednym względem nie różni się od polskiej, a mianowicie, nie lubi nowości i niechętnie słucha Strawinsky'ego, Brittena czy Albana Berga. Druga opera nowojorska City Opera Company ma bardziej ambitne pod względem artystycznym plany. Zostanie ona również przeniesiona na Lincoln Center i projektuje wystawienie napisanej przed czterdziestu laty opery Sergiusza Prokofiewa „Ognisty anioł", której prapremiera odbyła się w Wenecji w sierpniu 1955 roku. Według oryginalnie pomyślanego libretta, Renacie objawił się anioł nakłaniający ją do świętości. Renata zakochała się w swym opiekuńczym duchu i pragnie połączenia się z nim związkiem cielesnym, lecz gdy usiłuje go objąć, anioł zmienia się w rozżarzone żelazo. Opera ta jako dzieło muzyczne jest jednym z najświetniejszych arcydzieł w bogatej twórczości Prokofiewa. Przebudowywana po raz trzeci Filharmonia przypomina obecnie olbrzymie pudełko do cygar z brązowego drzewa. Akustyczne korzyści zostały osiągnięte kosztem wygody widzów. Pierwszy koncert abonamentowy pod dyrekcją Leonarda Bernsteina daje początek cyklowi, mającemu być przeglądem form symfonicznych dwudziestego wieku. W roku Sibeliusa dużo miejsca przeznacza Filharmonia nowojorska muzyce Finlandii.

Van Voorst (Holandia) — „Płacząca kobieta".

„KARIERA ARTURA UI" 300 RAZY

Rzadko chyba spotykaną ilość przedstawień osiągnęła sztuka Bertolta Brechta, „Kariera Artura Ui". Od dnia premiery, która od była się 23 marca 1959 roku „Kariera Artura Ui" była grana przez teatr Berliner Ensemble" w Lipsku, we Frankfurcie nad Menem, w Paryżu, w Warszawie i Poznaniu. Do początku roku 1965 łącznie z przedstawieniami w Berlinie wschodnim miała „Kariera" 300 przedstawień nie licząc spektakli w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Jeszcze teraz „Berliner Ensemble" gra „Kariere" na przemian z innymi sztukami Brechta. Rolę tytułową kreuje znakomity Ekkchard Schall.

MILIONERKA

Franciszka Sagan została z dniem 1 października „milionerką" w skali wydawniczej. W wydawnictwie „Livre de poche" (książka kieszonka) zostało sprzedanych 1 050 814 egzemplarzy pięciu tytułów jej utworów, figurujących w katalogu. A w ogóle, podczas miesięcy letnich (lipiec, sierpień, wrzesień) sprzedano we Francji siedem i pół miliona książek formatu kieszonkowego.

POWIEŚĆ W NASZYM STULECIU

W Wiedniu, w pałacu Palffy'ego spotkało się dwudziestu siedmiu pisarzy z różnych krajów. Dziesięć pytań, jakie austriackie Towarzystwo Literackie postawiło zebranym twórcom i krytykom, dotyczyło problemu realizmu. Pytanie, co to jest powieść realistyczna, zostało sprowadzone do bardziej rozsądnego pytania: Co się nazywa realizmem w powieści? Dylemat pomiędzy dotychczasową „prawdą" pisarza a „prawdą obiektywną" wydaje się być przezwyciężony przez „trzecią" prawdę, która może być przedstawiona zarówno w sposób ironiczno-sceptyczny, jak — również jako prawda przyszłości. U niektórych uczestników znalazł wyraz pogląd o potrzebie wyobraźni utopijnej, wypowiadali się oni przeciwko realizmowi jako opisowi otaczających nas uwarunkowań socjalnych, politycznych i psychologicznych oraz odpowiadającego im świata idei. Zwolennicy tzw. „nowej powieści" (Robbe-Grillet i Bloch-Michel) wypowiadali się za wyzwoleniem powieści z dotychczasowej tradycyjnej formy: według nich, zagadnienia gospodarcze i polityczne zostały pozbawione dawnego powieściowego znaczenia i stanowią problem informacyjny, który lepiej od powieści rozwiązują radio, prasa, telewizja, natomiast powieść powinna szukać sobie innych tematów.

POLONICA

WYSTAWA POLSKIEGO PLAKATU

W Kolonii (NRF) urządzono wystawę polskiej grafiki. Wystawiono obrazy, grafikę oraz plakaty teatralne i dla cyrku, 26 polskich artystów. Spośród plakatów teatralnych wzbudził duże zainteresowanie m. in. plakat Jana Lenicy do „Wizyty starszej pani" Dürrenmatta, wystawionej swego czasu w warszawskim Teatrze Dramatycznym.

Skoro mowa o teatrze, należy podać do wiadomości, że w zachodnioberlińskim Schillertheater polski reżyser Konrad Swinarski przygotowuje do wystawienia sztukę angielskiego autora Dawida Brett'a pt. „W sobotę wieczór i niedzielę rano".

GOMBROWICZ W PARYŻU

Argentyński reżyser, Jorge Lavelli, przyjaciel Witolda Gombrowicza z Buenos Aires, przeniósł sie przed paru laty do Francji, gdzie w „Theatre de Bourgogne" wystawił „Ślub", a obecnie „Iwonę, księżniczkę Burgunda" tegoż autora. Niedawno w Theatre de France odbyły sie gościnne występy zespołu ze sztuka Gombrowicza, która spotkała sie z żywą reakcja prasy. Wprawdzie nie wszystkie recenzje były jednakowo entuzjastyczne, ale żadna z nich nie odniosła sie do sztuki obojętnie. Witold Gombrowicz w dalszym ciągu przyciaga uwage krytyki literackiej i teatralnej we Francji.

NOWE PRZEKŁADY W NRD

Mamy do odnotowania trzy nowe przekłady książek polskich autorów na język niemiecki. Są to: „Tajemniczy kontynent" Aliny i Czesława Centkiewiczów, „Spiżowa brama" Tadeusza Brezy oraz „Niespokojne dni" Mariana Naszkowskiego. Wymienione wyżej książki, które spotkały się z życzliwa oceną prasy NRD, przetłumaczyli na język niemiecki Charlotte Eckert i Henryk Bereska. Ten ostatni jest również zasłużonym przekładowcą poezji polskiej, publikowanej zarówno w antologiach jak i w oddzielnych tomikach autorskich.

WIERSZE RÓŻEWICZA W NRF

Otrzymaliśmy luksusowo wydany tom wierszy Tadeusza Różewicza „Formen der Unruhe" (Formy niepokoju) w przekładzie Carla Dedeciusa. Tom Różewicza wydał Hanser-Verlag w Monachium, zasłużona dla kultury polskiej firma wydawnicza. Warto przypomnieć, że w tymże Wydawnictwie przed rokiem ukazała sie „Antologia poezji polskiej XX wieku", również w przekładach Carla Dedeciusa. Tom Różewicza opatrzony został posłowiem tłumacza oraz bibliografią. „Formy niepokoju" zawierają wybór utworów poety z lat 1945–1964.

JACOBOWSKY I PUŁKOWNIK

Franciszek Werfel, pisarz austriacki, autor głośnej w świecie sztuki „Jacobowsky i pułkownik", zmarł w 1945 r. na wygnaniu. Ale wspomniana sztuka, której bohaterem jest polski pułkownik Umieralski, a jej akcja dzieje się we Francji 1940 r., robi wciąż karierę światową. Ze sztuki teatralnej zrobiono film, który oglądaliśmy również na ekranach polskich kin. Obecnie sztukę te przerobiono na operę, której prapremiera odbyła się w Hamburgu. Autorem muzyki jest kompozytor Giselher Klebe. Zarówno muzykę jak i przedstawienie oceniono bardzo wysoko.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK. Zdarłem buty. Wszelako nie żałuję. Pęcherze mam na palcach i nie żałuję; zatrzymałem bowiem w płucach spory kawał przestrzeni, a w sercu radość, którą można uzyskać wyłącznie przez obcowanie z zabytkami kultury. A łowiczanki! „Każda łowiczanka usta ma jak wiśnie...". Jak takie usta wyglądają na tle polskiego baroku nie muszę wyjaśniać. Ponoć Napoleon również chadzał łowickimi szlakami. Do p. Walewskiej, której usta też... do tego stopnia, że umiłował ją sobie. Jest taki mały kościółek, gdzie podobno przysięgali sobie wierność. W tym czasie, już wiekowy szlachcic, mąż pani Walewskiej przesiadywał spokojnie w Walewicach, gdyż wymagała tego polska racja stanu. Oto jeszcze jeden przyczynek do martyrologii polskiej.

WTOREK. Jeszcze raz, i chyba nie ostatni, o dwusetnej rocznicy powstania sceny narodowej. W Klubie MPiK została otwarta wystawa poświęcona tejże właśnie okoliczności. Dzięki sprzężonym wysiłkom Katedry Teorii Literatury UŁ — Biblioteki Uniwersyteckiej i Towarzystwa Przyjaciół Łodzi mamy możność prześledzić drogę sceny narodowej od Bogusławskiego do Mrożka; od Modrzejewskiej, Kamińskiego przez Osterwę, Jaracza do Łapińskiego i Majdy; od Rapackiego do Kaszyńskiego.

Najbogaciej „udokumentowany" jest wiek XVIII. Dokumenty ówczesne są niezwykle ciekawe i pouczające. Zacznijmy od tego, że wydawanie opinii personalnych nie jest wymysłem naszych czasów. I w tej dziedzinie Bogusławski okazał się pionierem. Świadectwo moralności własnoręcznie napisane przez ojca sceny polskiej jednemu z aktorów można znaleźć na wystawie; można również inne ciekawostki. Na przykład: z Dykcyonarzyka Teatralnego. „Anterprener: Anterprener jest ten, co utrzymuie Teatr, nim rządzi, płaci, expensuie i zyski odbiera. Niekoniecznie sam ma grywać na Teatrze: ale powszechnie u nas tak się dzieje".

Prawa autorskie były wówczas przestrzegane w sposób niewątpliwie elegancki:

„Dzieła poetyckie
Ignacego Krasickiego
tom pierwszy
za pozwoleniem
Zwierzchności
w Warszawie MDCCCIII".

Niech nas nie dziwi gwałtowny renesans sztuki operowej w anno domini MDCCCCLXV i nie przypisujmy tego zjawiska mechanicznym czynnikom budowy i rozbudowy scen zdolnych pomieścić napływ widzów pociągami popularnymi. Opera nasza ma również niebagatelne tradycje:

„Śpiewy
z Opery nowey
pod tytułem Szarlatan
czyli
Wskrzeszanie Umarłych
Słowa J. Pana
Żółkowskiego",

(Libretto też na wystawie).

ŚRODA. 10 listopada o godz. 17.00 odbyło się zebranie Komitetu Społecznego Odbudowy Pomnika Reymonta w Małkowie. Obradowano w hallu Szpitala Psychiatrycznego. Mimo to zebranie było nacechowane powagą oraz odpowiedzialnością wobec doniosłości sprawy. Gratulujemy Oddziałowi PTT-K w Warcie.

CZWARTEK. Coś dla starszych: galeria plastyki dzieci i młodzieży. Urocza to wystawa, świeża i śmiała w traktowaniu tematu i koloru. Szczególnie zadziwia widzenie maluchów z „pierwszej". Intuicyjna dążność naszych najmłodszych do upraszczania, a czasem syntezy powinna zastanowić tych, którzy tę dążność potępiają (niekomunikatywność) w ekspozycjach niektórych „dorosłych malarzy". Szczęśliwy wiek kolorowego i prostego widzenia zaczyna nam mącić wiedza o świecie i jego detalach nie zawsze przydatnych artystycznie. Dopiero wiedza o plastyce jest zdolna zrównoważyć tamtą (o świecie), podporządkować ją prawom plastycznym, które, jak wszystkie kanony estetyczne, ulegają również rozwojowi. Cieszy fakt, że prace starszych klas są na ogół bogatsze formalnie, równocześnie, nie zatracają świeżości widzenia, na rzecz banalnej anegdoty. Zasługa w tym niewątpliwa wychowawców. Oby nasze dzieciaki wyrosły na tęgich plastyków, a przynajmniej wrażliwych odbiorców.

PIĄTEK. Dla ludzi w różnym wieku, a nawet różnego autoramentu, bo wystawa malarstwa Barbary Szajdzińskiej-Krawczyk może zainteresować tzw. szerokiego odbiorcę. Na pierwszy rzut oka jest to malarstwo przedstawiające aż do granic trójwymiarowości. W ten sposób Szajdzińska uzyskuje duże „zmaterializowanie" realiów w obrazie; niektóre z nich dosłownie wystarczają z ram, notabene, też malowanych. Takie założenia formalne wymagają oczywiście dużej sprawności technicznej.

Jednakże dobór realiów i eksponowanie niektórych z nich świadczy o tendencjach zgoła nienaturalistycznych. Wyrafinowanie techniczne i perwersyjne zestawienia „naiwności tego świata" nadaje temu malarstwu raczej ton polemiczny. Jeżeli przyjąć, że konwencja, przynajmniej u nas, jest rzadka i ciekawa, to może i niedookreślona. Jest że to nadrealizm? Hmm... „Nadnaturalizm"? Cokolwiek by to było — jest niezmiernie interesujące.

SOBOTA. Strażak-pisarzem. To i co z tego? Ale dostał tegoroczną nagrodę Akademii Francuskiej w dziedzinie literatury. To i co z tego, że dostał?

Morał: żadna praca nie hańbi pisarza.

NIEDZIELA. Łódzki Klub Nauczyciela zorganizował wieczór twórczości Brunona Jasieńskiego. Wiersze i fragmenty utworów recytował (czy na pewno recytował, bo nie byłem?) znany aktor wrocławski A. Horodniczy. O... nie dobrze! Do tego doszło, że już żaden aktor łódzki nie chce recytować Jasieńskiego. A może Łódzki Klub Nauczyciela zapomniał, że nasi aktorzy też dobrze „recytują"?

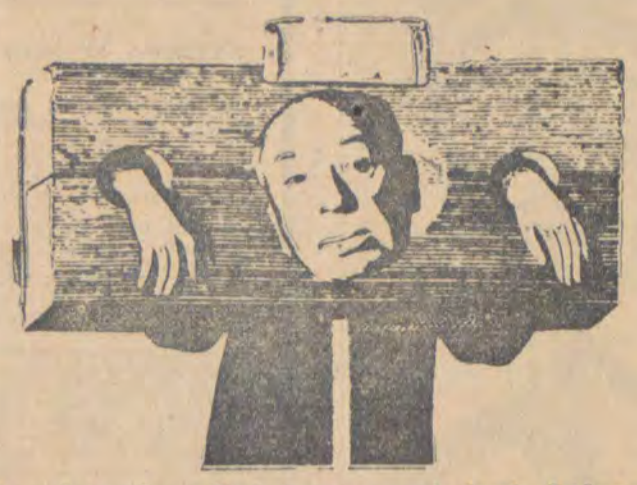

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Wielki Freddy to nie tylko boss gangsterski, to również znany kawalarz. Kawały to dowód dobrego humoru, dobry humor — to zdrowie, a Wielki Freddy bardzo dba o swe zdrowie, ma bowiem zamiar spotkać śmierć dopiero w późnej starości, i to koniecznie w swym wygodnym łóżku, z jakąś przystojną bruneteczką w objęciach. Wymagania niemałe, co?

Prócz kawałów, drugą pasją Wielkiego Freddy są bowiem zgrabne brunetki. Gdy ujrzał tę nową, w Klubie 22, od razu zaczął o nią wypytywać swą Prawą Rękę, Dino Clarka. Dino, którego nazywają również Słodkim Mordercą, zawołał innego członka bandy, Vinny Gio, specjalistę od mokrej roboty i zaciągnął szczegółowych „informacji".

Dziewczyna nazywała się Margo, była rozwódką, aktualnie nie miała żadnego przyjaciela, w branży była nowicjuszką. Co więcej — tak przynajmniej twierdził Vinny — uwielbiała mężczyzn dojrzałych, właśnie w takim typie, jak Wielki Freddy. Mieszkała samotnie z ojcem.

Wielki Freddy wysłuchał uważnie tych informacji i zamyślił się głęboko. Teraz, kiedy już przekroczył pięćdziesiątkę, wiele spraw mu się ostatecznie wyjaśniło. Wiedział, że jako boss wielkiego gangu, nie umrze chyba śmiercią naturalną: wszyscy jego poprzednicy zginęli z rąk swych kumpli, najczęściej od ich kuli. Powodem ich śmierci była albo forsa — ta z podziału — albo jakaś dziewczynka. A ponieważ Wielki Freddy zdobył kierownictwo gangu w ciężkiej i okrutnej walce — myśl o tym, że po świecie chodzi wielu jego śmiertelnych wrogów nie dawała mu spokoju. Ostrożność przede wszystkim! pomyślał Freddy. Ale pokusa była zbyt wielka. Ciekawe, że taką szałowa babka nie ma chłopca? — powiedział w zamyśleniu Freddy. — Co się za tym, kryje?

— Nic — zapewnił niewinnie Vinny. — Po prostu jej ojczulek trzyma ją mocno w ryzach. To prawdziwy tyran.

— A co to za facet? — wypytywał Freddy.

— Ach, jakiś tam kolejarz z Long Island — powiedział Vinny.

— Ach, tak! — mruknął

PHILLIP TREMONT

KTO SIĘ ŚMIEJE OSTATNI...

Wielki Freddy, czując nagle przypływ gorącej sympatii dla swych chłopców. Jeszcze przed chwilą mógłby się w nich dopatrzyć zamachowców spiskujących na życie szefa. A teraz wszystko się wyjaśniło: oni po prostu chcieli mu zrobić kawał. Tak. Naiwny kawał. Jemu, Wielkiemu Freddy, który przecież był sam mistrzem kawałów.

Ten kawał, który mu szykowali, nazywał się w żargonie kawalarzy „Troskliwym Ojczulkiem". By go realizować trzeba było znaleźć ładną dziewczynę, starego kolejarza i pistolet-straszak. Rzecz rozgrywała się zazwyczaj w samotnej, opuszczonej willi, gdzie przybywał zakochany facet, któremu szykowano taką niespodziankę, z piękną i pozornie również zakochaną dziewczyną. W odpowiednim momencie, gdy amant był już w pidżamie, zjawiał się „troskliwy ojczulek" z ogromnym pistoletem. „Łajdaku, uwiodłeś mi córkę!" No i amant, w strachu, dawał nura przez okno i spędzał noc w krzakach, szczękając zębami z zimna. Świetny kawał, co?

Wielki Freddy uśmiechał się pobłażliwie. On sam miał na swym koncie lepsze kawały. Na przykład „Wielkiego Ala", swego poprzednika pozbył się w ten sposób, iż wysłał go w podróż poślubną, po hucznej uczcie. Al z ukochaną wyjechali ze swej willi nocą, rankiem znaleziono ich w roztrzaskanej maszynie na dnie pobliskiego wąwozu. Czyjaś ręka — pewnie jakiegoś kawalarza — właśnie na tym zakręcie nad przepaścią zamalowała biały pas znaczący środek jezdni, zakryła sygnały odblaskowe i wyznaczyła prosty biały pas wiodący — jak strzelił — w przepaść. Dobry kawał, co?

Taki styl miał Wielki Freddy. To on wpuścił do luksusowego basenu Wielkiego Joe, skarbnika bandy, żywego rekina. Ale ubaw, co? Na wspomnienie swych kawałów Wielki Freddy uśmiechnął się z zadowoleniem i ironicznie przyjrzał się swym chłopcom. Chcecie mi zrobić kawał? Proszę bardzo, dlaczego nie? — pomyślał, a głośno powiedział: — Chłopcy, chcę poznać tę dziewczynę.

— A jej staruszek — zaniepokoił się Bill. — Mówiła, że on ma taką wielką spluwę!

— Przecież to kolejarz — powiedział Wielki Freddy. — Sprawdźcie, chłopaki, kiedy ojczulek będzie miał jakiś nocny dyżur czy coś w tym rodzaju. Kapujecie?

* * *

W dwa dni później Gino zawiadomił szefa, że wszystko jest przygotowane. Ojciec dziewczyny, ów kolejarz, ma akurat nocny dyżur i nie zjawi się aż po 24 godzinach. A cyzia czeka w swym samotnym mieszkanku na Long Island i bardzo serdecznie zaprasza Wielkiego Freddy na intymną kolacyjkę. I tak zaczęła się ta zabawa: Freddy wsiadł do swego cadillaka, na tylnym siedzeniu usadowiła się wierna obstawa: Dino Słodki Morderca i Vinny. Wielki Freddy patrzył na swych chłopców z uśmiechem,

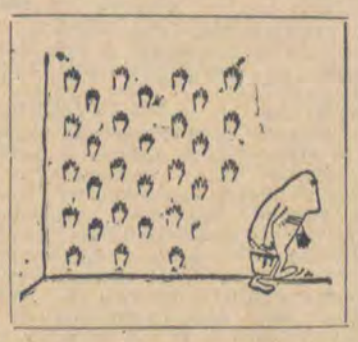

pod lewą pachą uciskał mu żebra stary, wypróbowany pistolet, którego nie używał od trzydziestu lat. Tam u licha! — pomyślał Wielki Freddy — wszystko jak za dawnych dobrych czasów.

Po godzinie samochód zatrzymał się przed małym domkiem na peryferiach Long Island. Freddy znał tę okolicę, podobała mu się, przypominała mu czasy dawnych pistoletowych rozpraw z innymi gangami.

Jesteśmy na miejscu szefie — powiedział Dino — a Vinny otworzył drzwi samochodu i z niezwykłą serdecznością podał rękę wysiadającemu bossowi. — Dobrej zabawy, szefunio! Przyjedziemy po ciebie rankiem. Tak, żebyś zdążył się wyspać.

Rys. Jiriho Daniela

Freddy wszedł na ganek, zapukał i znalazł się w objęciach Margo. „Och, tak na ciebie czekałam, darling!" Ale Freddy był jak zwykle nieufny — „Jesteś pewna, że twój tato nie wróci na noc do domu? Chłopaki mówili mi, że on zawsze chodzi ze spluwą".

Margo usadowiła gościa na sofie i usiadła tuż obok: — „Na pewno nie wróci wcześniej niż jutro wieczorem". Freddy rozejrzał się po pokoju: na stole czekała przygotowana kolacja, kącik był przytulny i zaciszny. Boss zrzucił marynarkę, odpiął kaburę ze swą starą spluwą — „Widzisz — powiedział do dziewczyny — wziąłem na wszelki wypadek jeśliby ktoś miał nas tu zaskoczyć". Oczy Margo wyrażały przerażenie, dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od kabury. — „Wielkie nieba, co to takiego? Czy ty jesteś gangsterem?"

Freddy nie starał się nawet jej uspokoić. „Jeśli ktoś zechce mi wypłatać figla, pożałuje tego" — powiedział swym zwykłym tonem kawalarza i przyciągnął dziewczynę bliżej. — „Widzisz, kochanie, lubię śmiać się ostatni, zawsze śmieję się ostatni". I nagle wyobrażając sobie co to się będzie działo, gdy zjawi się „troskliwy ojczulek", Wielki Freddy wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

W chwilę później zaczęła się zabawa: ktoś zaczął się dobijać do drzwi wejściowych. „To tatuś" — przeraziła się dziewczyna. Freddy z zadowoleniem pomyślał, że wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami. — „Siedź cicho, niech staruszek tu wejdzie" — rozkazał. I oto na progu zacisznego pokoiku stał już stary kolejarz z wielkim pistoletem w garści:

— „Uwiodłeś mi córkę — wrzasnął do Wielkiego Freddy, który już też trzymał swoją spluwę w garści. — Albo się z nią ożenisz, albo wpakuję ci sześć uncji ołowiu w brzuch".

To było coś nowego, tego zazwyczaj kawał o „troskliwym ojczulku" nie przewidywał. Wielki Freddy skrzywił się z niesmakiem. — „Schowaj to żelastwo, staruszku" — powiedział. Ale kolejarz wpadł w większą jeszcze furię. — „Jesteś podłym uwodzicielem. Liczę do trzech. Albo się zgodzisz na małżeństwo albo strzelam".

I rzeczywiście, doliczywszy do trzech, huknął ze swojej pukawki aż szyby zabrzęczały. Strzał, oczywiście, był ślepy, ale Freddy dość miał tej zabawy i postanowił ją zakończyć. Wycelował uważnie ze swego starego pistoletu, pociągnął za cyngiel. Ale — czego nie oczekiwał — i ten strzał był pusty. Ktoś mu zrobił paskudny kawał i wymienił naboje w pistolecie! Jednocześnie za plecami kolejarza zjawili się jak w kiepskiej sztuce kryminalnej Vinny i Dino — Słodki Morderca.

— Cóż to za kawały, chłopaki — krzyknął Freddy — mam tego dosyć!

— My też, szefie — zgodził się skwapliwie Bill. — Wiesz, uradziliśmy, że trzeba ciebie sprzątnąć, bo za dużo sobie pozwalasz. Łupy dzielisz niesprawiedliwie, chłopaków traktujesz gorzej niż to robią gliny w czasie śledztwa. Mamy na ciebie wyrok.

— Zwariowaliście — powiedział Freddy, czując zimny dreszcz zgrozy. — Będziecie za to odpowiadać, pójdziecie do Sing-Sing.

— Nic z tych rzeczy — zapewnił Słodki Morderca. — Następna kula w spluwie „troskliwego ojczulka" już jest prawdziwa, zaraz ją szefie poczujesz. A na nas czeka niedaleko helikopter, i za parę minut znajdziemy się w kawiarni w Jersey: wszyscy, całą paczką, jak tu jesteśmy, oprócz ciebie. Będzie to świetne alibi, prawda?

Gino, którego Wielki Freddy uważał za swoją prawą rękę, wyszczerzył zęby w złym uśmiechu. — „To wszystko ja uplanowałem, szefie, bo zawsze mówiłeś, że się nie znam na kawałach. Więc pomyślałem, że trzeba ci pokazać jak to my młodzi potrafimy zakasować starszych. Wyobrażasz sobie jaką łamigłówkę będą miały gliny, jak znajdą tu rankiem twoje zwłoki, w takiej niezamieszkałej ruderze? Ale będzie sensacja".

I zwracając się do kolejarza rozkazał. — No, „troskliwy ojczulku", rób co do ciebie należy.

A wtedy „troskliwy ojczulek" pociągnął za spust swego olbrzymiego pistoletu.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

WŁÓKNIARZ	„Lampart", 11 seansów	4.317	widzów	70%
WISŁA	„Małpia kuracja", 18 seansów	5.145	„	65%

TEATR

NOWY	„Bliźniaki z Wenecji", 3 spektakle	1800	„	90%
	„Lato w Nohant", 4 spektakle	2400	„	75%
NOWY Mała Sala	„Drewniana miska", 3 spektakle	600	„	100%
	„Lato w Nohant", 1 spektakl	200	„	100%
JARACZA	„Kolumbowie", 3 spektakle	1734	„	86%
	„Ostatnia stacja", 1 spektakl	670	„	100%
	„Lord z walizki", 1 spektakl	670	„	100%
POWSZECHNY	„Dziady", 3 spektakle	1961	„	98%
	„Ktoś nowy", 1 spektakl	668	„	100%
	„Robin Hood", 2 spektakle	1193	„	89%
7.15	„Latające dziewczęta", 3 spektakle	3580	„	80%
OPERA	„Fra diavolo", 1 spektakl	580	„	90%
OPERETKA	„Piękna Helena", 7 spektakli	7294	„	94%
FILHARMONIA	2 koncerty	900	słuchaczy	— 70%

Uwaga: cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

O PRZEŻYCIACH ARTYSTYCZNYCH I INNYCH

Oscar Wilde, nazywany zresztą już przez współczesnych „Lordem Paradoxem", powiedział kiedyś, że nie sztuka naśladuje życie, tylko wręcz odwrotnie. „Cierpienia młodego Wertera" spowodowały kiedyś nie tylko manię samobójstw i modę niebieskich fraków do żółtych spodni, ale określiły styl kochania na wiele dziesiątków lat. Po przeczytaniu Jana Jakuba Rousseau wielkie damy szły z gałązką w ręku paść baranki, karmiły własną pudrowaną piersią niemowlęta i biegały w trepkach po rosie. Wielu chłopców uciekało z domu, jak sławetny Huckliebery Finn z powieści Marka Twaina, wielu zapragnęło pisać do gazet jak Martin Eden, wiele pensjonarek poczuło się nagle przedmiotem nieustannego pożądania ze strony wszystkich jak leci starszych panów, bo tak stoi w Sagance i w „Pianolach".

Nie mówimy już o ogromnym wpływie na życie sztuki filmowej. Wydaje się wręcz, że potrafimy się upodobnić fizycznie do bohatera filmu, cóż dopiero mówić o reakcjach, odruchach, powiedzeniach i sposobie odkrywania biustu. Można też sięgnąć do mikroskali przykładów drobnych, a wymownych. Sam widziałem dawno temu wstawionego tramwajarza, który za każdym razem, gdy orkiestra grająca „Smutną niedzielę" dochodziła to miejsca „i przyszedł mój smutek i szepnął: za późno..." — ocierał rękawem łzę i solennie zapewniał: „w łeb sobie kropnę i już!".

Ta melodia bowiem uchodziła w ówczesnej legendzie za świetny akompaniament do strzelania sobie w łeb i wielu tej legendzie — naprawdę — uwierzyło.

Przy takim stanie rzeczy należy sobie gorąco życzyć, żeby wpływ sztuki na masy nigdy nie był zbyt duży. Doniosła na przykład prasa przed paroma tygodniami, że osiemnastoletni chłopiec w Los Angeles zamordował dwóch zupełnie mu nieznanych mężczyzn pod wpływem... powieści Camusa „Obcy". Chłopiec podał nawet dokładnie źródło inspiracji swego czynu: strony 74 i 75 wspomnianej powieści. Może dalej już nie doczytał, bo zbrodni i pomniejszych wykroczeń byłoby znacznie więcej.

Strach pomyśleć, co by było, gdyby nasi chuligani czytali książki. A może czytają? Może wyrzucanie pasażerów i konduktorów z pociągu to po prostu dosłowne naśladownictwo Lafcadia z „Lochów Watykanu", równie bezinteresownego, sfrustrowanego, nierozumianego przez rodziców młodzieńca?

Może zgwałcenie dziewczyny przez czterech nieletnich bandziorów w Parku Poniatowskiego, to powtórzenie przeżycia — o naturze estetycznej — zaznanego przy lekturze „Cichego Donu"?

Może pielęgniarka z felietonu Falkowskiej, zakopująca w lesie swego drugiego już noworodka, poddała się tylko artystycznej sugestii słynnej sceny z Ewą Pobratymską w roli głównej?

Jeżeli znajdziecie w samotnej stancyjce uduszoną starą kobietę, pytajcie w księgarniach i bibliotekach, kto ostatnio kupował lub wypożyczał Dostojewskiego. Jeśli w waszej wiosce spłonęła stodoła — macie między sobą wyrobionego czytelnika, który widać sięgnął po Brunona Jasieńskiego „Palę Paryż". Jeśli zdradzi was żona z młodszym i ciekawszym niż wy partnerem, to na pewno dlatego, że czytała niedawno „Annę Kareninę", lub może „Panią Bovary". Wy zaś sami, panowie, po przeczytaniu „Niebezpiecznych związków" lub „Kubusia Fatalisty" machniecie ręką na ostatnie skrupuły.

Więc co: pisać tylko niesłychanie moralne powiastki w rodzaju „Pawła i Wirginii" Saint-Pierre'a? E tam. Gazem się można otruć, ale gaz nas ogrzewa i karmi. Sztuka też nas ogrzewa i karmi. Będziemy zagęszczać sieć gazową. Będziemy zagęszczać sieć księgarń, bibliotek, teatrów i galerii. Upojenie alkoholem nie jest już okolicznością łagodzącą przy wymiarze sprawiedliwości. Tym bardziej nie będzie nią nigdy nadużycie literatury jak przez tego nienormalnego chłopca z Los Angeles.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3058. XI.68. N-3